



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:

We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 zlr., półrocznie 6 zlr. kwartalnie 3 zlr.

PRENUMERATA na PROWINCJI:

We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 zlr. półrocznie 7 zlr. kwartalnie 3 zlr. 50 cent.

W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.

Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.

Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.

Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni

J. K. Żupańskiego w POZNANIU.

PRENUMERATA w POZNANIU:

Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.

NA PROWINCJI:

Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 sgr. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŻNE UWAGI.

II.

O SZERZENIU OŚWIATY POMIĘDZY LUDEM.

I. Oświata ludowa stała się hasłem dziś ogólnem, powszechnem i niema człowieka poczciwego, a rozsądnego w inteligencji, któryby do tego nie przyznawał się hasła i całym sercem nie pragnął, aby lud się podźwignął z ciemnoty, upatrując w tem — i najsluszniej — prawie najpierwszy i najważniejszy warunek lepszej doli dla narodu. Mimo prądu tak ogólnego, nie widać stosownych rezultatów i właściwie powiedziawszy, nie, a przynajmniej mało co na tem polu zdziałano.

Godzi się pomyśleć nad tem, dlaczego w rzeczy ogólnie upragnionej, a przyszłość narodu stanowiącej, zdziałano tak mało. Pozwolimy sobie podzielić się kilkoma uwagami, jakie się nam w tej kwestji nasuwają, a uwagami, które wyrosły z doświadczenia i poznania stosunków naszego ludu.

Azeby oświata prędko, skutecznie i na wskrós przyjęła się u ludu, same nie wystarczają szkoły. One z natury swej podają środki oświacie t. j. umiejętność czytania i pisania, tudzież inne elementarne wiadomości. Posiadanie wiadomości, nie jest oświata sama, ono do oświaty wiedzie. Oświata jest dopiero umiejętność używania wiadomości, posługiwania się niemi dla własnego dobra i dobra ogółu; oświatę stanowi: poczucie godności osobistej, obywatelskiej; zrozumienie obowiązków człowieka, jako takiego, jako ojca rodziny, jako członka narodu itd. — Szkoły tego wszystkiego wytworzyć nie mogą, ich praca jest nasieniem przyszłości, a nasienie to przepada często i ginie w zamięcie przesądów, szkaradnych nałogów i niedowierzania starszej generacji ludu.

Szkola podaje zresztą teorję, którą dziecko często gubi, zanim z ławy szkolnej powróci do domu.

Oświata musi wejść na drogę praktyczną. Praca inteligencji stykającej się z ludem, powinna być w tym kierunku podjęta systematycznie, z wyrachowaniem, powinna być ogólną, skonolidowaną. Naszem zdaniem, w czasie stosunkowo

bardzo krótkim, można lud nasz wyrwać z ciemnoty, ale trzeba: chcieć, umieć i wytrwać.

Trzeba chcieć, to znaczy przejąć się tą myślą, że praca nad oświatą ludu jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka, który tylko z ludem się styka, że jest obowiązkiem, jakiego szczęście narodu wymaga, a od którego nikomu uchylać się nie wolno. Trzeba mieć wiarę w ważność tego obowiązku i w możliwość spełnienia go z pożytkiem. Często słyszeć można głosy osób starszych, wzrosłych między ludem, pełne uprzedzenia o charakterze ludu, w jego instynktach, pełne niewiary w powodzenie usiłowań cywilizatorskich. Nie chcemy ubliżać fizjologii i logice, polemiką z takimi głosami; są to zabytki archeologiczne, którym czas zamieszkać w dziedzinie wspomnień. Kto odmawia ludowi kwalifikacji do przyjęcia zasiewów cywilizatorskich, odmawia ich tem samem i sobie samemu — a dowodzi zarazem bardzo jałowej inteligencji. Natura ludu jest taką samą, jaką jest natura w ogóle polska i nie może być inną, boć przecie też same fizjologiczne posiada warunki, choć odmienną historję.

Aby na pole oświaty ludowej umieć działać, należy zdać sobie sprawę z tego, jakich środków najskuteczniej do tego celu używać wypada i jakie w ręku działającego pożytecznymi być mogą. Inne nasuwają się środki działania księdzu, inne nauczycielowi, inne szlachcicowi, inne mieszkańcowi miasta, lub miasteczka. Środki te powinny wypływać ze stosunku osoby inteligentnej do ludu, powinny być naturalne — gdyż inaczej obudzić mogą w ludzie podejrzliwość i całą działalność udaremnić w zarodku. Przedewszystkiem jednak pamiętać należy, że kto ludu nie zna dokładnie, kto się zdala od niego wychował, kto nie umie ocenić dodatnich i ujemnych stron jego usposobienia, ten lepiej niech nie zaczyna cywilizatorskiej siejby, bo przez niezręczność i najpiękniejszą myśl i najpożyteczniejszy pomysł skompromituje, ośmieszy mimowolnie. Szczególniej zwracamy się tu do redaktorów istniejących pism pseudo-ludowych, którzy najczęściej wyrosli i wychowani w mieście, nie

mając najmniejszego pojęcia o sposobie przemawiania do ludu, dobrą wolą zastępują kwalifikacje swoje. Zdarzyło nam się czytać poezję w piśmie ludowem: „Spi Jeruzalem okryta całunem żałoby“, albo doniesienie polityczne: „Usiłowania dyplomatyczne gabinetów, pozwalają nam spodziewać się prędkiego załatwienia kwestji“ itd. Uchylamy się od komentarzy nad temi cytatami, które nam pamięć nasunęła. Świadczą one najwymowniej, że łatwiej jest pisać artykuł wstępny w dzienniku politycznym, niż zredagować zrozumiałe dla ludu doniesienie, jeżeli się tego ludu nie poznało z gruntu.

O wytrwaniu pisać, to znaczy uderzać w najsłabszą stronę naszego charakteru, którego właściwością: brak wytrwałości, łatwość zniechęcania się pierwszem niepowodzeniem — a taka skłonność silna do zastępowania czynów, działalności osobistej: słowem, dobrmi chęciami i zwalaniem własnej winy na przeciwności przewyciężyć się nie dające.

Należałoby tu zwrócić się do Polek, którym w poświęceniu się dla sprawy ojczyznej, żadne kobiety świata niedorównały, do Polek co wypiastowały bohaterów i wieszczów. One mogą dziś dać narodowi miliony obywateli, miliony żelaznych piersi, z których historia wytworzy szaniec dla narodowej własności. Zapalcie Polki pochodnie światła cywilizatorskiego, — a miłość ludu w waszem sercu, światło w waszej dłoni, z katakomb nas wyprowadzi. — Zachęcajcie mężów, synów i braci do wytrwałego działania, a wytworzą w sobie wytrwałość, lub wstyd spali im czoła.

Minęła epoka narzekan, czas wziąć się do pracy wytrwałej, aby potomność nie powiedziała kiedyś żeśmy dla niej nic nie uczynili.

Pozwolimy sobie w następnych pogadankach zwrócić uwagę na to: 1) Jakiemi środkami oświatę między ludem rozsiewać należy; 2) kto ją ma rozszerzać; 3) w jaki sposób używać środków ku temu.

SERCE I REKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA
przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Późno w noc... dano wiedzieć hrabinie że Olimpja przybyła... pobiegła do niej natychmiast i zamknęły się na długą konferencję tajemną. Klara opowiedziała jej wszystko, powtórzyła niemal rozmowę i przyznała się że o skutku nie może wnioskować. Zygmunt siedział u siebie, zdawał się złamanym i niepewnym, co pocznie.

Na twarzy Olimpji rozpromienionej szczęściem, znać było jakby powrót do życia... Klara nie mogła się wydziwić temu skutkowi godziny szczęścia, po latach niedoli. Słuchała szczebiotania przyjaciółki lecz widać było że do niego nie przywiązuje żadnej wagi — duszą i sercem była przy ukochanym... Oczy jej patrzyły niewidząc, usta uśmiechały się marzeniem... Wszystkie warunki byłaby przyjęła, ubóstwo, ofiary największe, upokorzenie, nawet gniew ojca i matki, byle z wybranym swych lat wiosennych pozostać.

Klara ze zdumieniem postrzegła, jak to, co jej wydawało się najważniejszym, mało poruszało Olimpję. Uderzyło ją tylko co mówiła o niebezpieczeństwie mogącym zagrażać Bratankowi, które odwrócić się starała z taką zręcznością — przekonywając o bezużyteczności zemsty... Za to Olimpja ścisnęła jej rękę...

W pierwszej chwili wezbrany potok słów tak obficie płynął z ust hrabinie, że Olimpja nie mogła prawie odpowiedzieć nań ani wyrazem. Klara wracała do tego, co już mówiła, powtarzała się, tryumf ją widocznie upajał. Pocałunek Olimpji zamknął nareszcie różowe usta zmęczonej.

— Kochana moja — rzekła — ja tak jestem niewypowiedzianie szczęśliwą w tej chwili, iż szczęście zasłania mi niebezpieczeństwo. Nie chcę szukać żadnych środków, które by mnie zmuszały do kłamstwa, do wybiegów — do walki... niech jutro przyjdzie pan baron, powiem mu wszystko, otwarcie — niech żąda czego chce — oddam ostatnią suknię, oddam koszulę... pójdziemy z nim pracować, żyć o chlebie suchym... lub umierać z głodu...

— Une chaumiere et son coeur! rozśmiała się serdecznie Klara z pewną zadością patrząc na rozpromienioną przyjaciółkę — a! jakże to dziwnie brzmi w XIX wieku, coś tak przestarzałego jak prawdziwa miłość dwojga kochanków niepotrzebujących posagu... Olimpko moja, tyś widzę pozostała dzieckiem, siedząc tam na wsi zamurowana ze smutkiem swoim. Ale to są rzeczy które się mówią, tak sobie, — dlatego żeś nigdy nie doświadczyła niedostatku, głodu i przywacji.

Olimpja się uśmiechnęła smutno.

— Jakże ty się ze mnie śmiać będziesz, rzekła, gdy ci powiem, że przez te długie lata niewoli mojej w Zabrzeziu — jam marząc a marząc o wszystkim, marzyła o możliwości ubóstwa... I wiesz com robiła? Oto próbowałam na sobie głodu i postu

dobrowolnego o suchym chlebie, — zimna, pozbawienia się wszelkich wygódek... Brano to za rodzaj pokuty i ascetyzmu — jam się zbroiła tylko do walki — no — i jestem do niej zbrojną...

Klara spojrzała na nią z pewnym niedowiarstwem. Olimpja nie miała najmniejszej ochoty do rozmowy, przyniosła z sobą taki zapas szczęścia, iż pragnęła co najrychlej sam na sam z niem pozostać...

— Jutro więc — rzekła, proszę do mnie pana barona na rozmowę... Dobranoc...

Tak się rozeszły... Klara zamyślona powróciła do siebie.

— Jaka ona dziecinna, mówiła w duchu — gdyby nie ja jakby oni tu sobie dali radę?

Nazajutrz zdawało się że Zygmunt sam pewnie zgłosi się do hrabinie — ale do godziny dosyć późnej nie przyszedł. Służąca, owa Szarlotta, której wielką czyniło przyjemność złą przynieść nowinę, oznajmiła, że ten pan w nocy zachorował, i że doktor był już dwa razy, a teraz przysłał właśnie bonę do pilnowania.

Klara przestraszyła się — nie miała złego serca, przy całej wzdardzie dla Zygmunta, żał go jej było trochę. Nie wahała się więc ani chwili pobiedz do niego... W progu wchodzącą powstrzymała kobieta dając znaki, ażeby nie mówiła nic i zachowała się cicho... Wywołała ją hrabina w korytarz.

— Pan ten mocno zachorował w nocy, szepnęła bona — doktor mówi, że to jest gorączka niebezpieczna. Nakazał spokój jak największy...

— Kiedy doktor przyjdzie?
— Za parę godzin aby się przekonać o biegu choroby...

— Proścież go, aby zszedł do mnie... Ale ja — przecież — mogłabym się przekonać jaki jest stan chorego...

— Drzemie nieprzytomny... mówi zupełnie od rzeczy... Doktor stanowczo zakazał wpuszczać kogokolwiek...

Z tą niespodziewaną nowiną Klara poszła do Olimpji, która się spodziewała co chwila ukazania się barona. Po twarzy przyjaciółki łatwo poznała iż się coś nowego i niedobrego święciło.

— Gdzież baron?

— A! stało się czego nikt przewidzieć by był nie mógł. Po wczorajszej znać rozmowie ze mną — leży chory w gorączce...

— Chory? w gorączce? ależ mogli to być? zawołała Olimpja — on? chory? ze zgryzoty? ze zmartwienia? On? Wierz mi Klaro — widziałas go?? to podstęp, to fałsz!...

Hrabinę uderzyła ta myśl, spiesznie pobiegła nazad na drugie piętro... Drzwi tym razem były zamknięte, wyszła bona, ale zamiast rozmowy z nią, gwałtem wcisnęła się Klara na palcach do pokoju i aż do łóża Zygmunta.

Leżał w istocie w gorączce wzmagającej się coraz, wodząc oczyma nieprzytomnymi i bełkocąc wyrazy niezrozumiałe. Rzucał się, jęczał i krzyczał. Choroba wcale nie była udaną ani przesadzoną. Hrabina cofnęła się przerażona i wróciła do Olimpji.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, że

leży w okropnej gorączce — rzekła pomieszana. Doktora czekają po raz trzeci. Zdaje się że rzecz bardzo serjo...

Są chwile w których nawet taka wiadomość nie czyni wrażenia żadnego, zwłaszcza gdy choroba dotyka człowieka który nam przewinił wiele. Olimpja zamilkła zamyślona. Zasepiło się jednak czoło — choroba przychodziła nie w porę — krzyżowała jej plany, odraczała koniec stanowczy...

Zszedł tedy znowu dzień na wyczekiwaniu w niepewności — a przywołany doktor bez ogródki powiedział, że słabość jest bardzo groźną, iż życie zapewne młodość ocali, ale zdrowie nie powróci.

Przesilenia, któreby o przejściu choroby stanowić mogło — nie spodziewano się tak rychło. Tymczasem gorączka przybierała charakter bardzo gwałtowny. Zupełną swobodę odzyskała Olimpja i spokój chwilowy — miała czas do namysłu i wytchnienia. Klara która przypisywała sobie po części słabość Zygmunta, posępna jakoś chodziła. Kryzys już się zbliżała, gdy jednego wieczora dzwonek na dole oznajmił przybycie hotelowego omnibusu. Wsiadł z niego cały garnizon Angielek z plecami i torbami, Anglików w białych kapeluszach z zielonemi welonami, Amerykanów i Rossjan, a między nimi figurka czupurna z całym bukietem wstążeczek w guziku letniego surduta, z drugim takim przy paltocie... Jegomość ten dopominał się aby go zaraz prowadzono do barona Dobińskiego... który był jego synem.

Zarządzający hotelem dosłyszawszy jakiś spór z portjerem, który nie chcąc od razu powiedzieć dla czego, wymawiał się od wpuszczenia szambelana do numeru w którym chory leżał — wyszedł sam. Imponująca mina rzeczywistego Radzcy stanu, głos jego stanowczy, ordery itd... jakoś nie uczyniły wrażenia na panu rządzczy. Bardzo zimno i grzecznie oświadczył że portjer miał słuszność wahając się w spełnieniu życzenia — gdyż na nieszczęście pan baron chory był na tyfoidalną gorączkę... i nawet ojcu w chwili spodziewanej kryzys, przystęp mógł być wzbroniony.

Szambelan, który jechał w skutek listu tego rzuconego na pocztę w Carouge, spodziewając się już twardej do odegrania roli... osłupiał dowiedziawszy się o chorobie... Nie nalegał już wcale, prosił o pokój jak najbliższy i o posłanie natychmiast po doktora z którym się rozmówić potrzebował. Dla poparcia swojego żądania, argumentem, który mu się zdawał silnie podziałać mogącym na służbę — zażądał książki meldunkowej i wpiął się w nią ze wszystkimi tytułami, orderami i rangami... Szwajcarowie popatrzali na ten rejestr, na człowieka, potem na skromną torbę i tłumoczek, i posłali po doktora...

Tymczasem nieszczęśliwy szambelan zajmował dany mu pokój na pierwszym piętrze... oczekując na przybycie lekarza i gotując się ubrany iść do swej — tak zwanej — synowej.

Nie spieszył jednak, bo tu, wiedział bardzo dobrze, iż mimo taktu z jakim miał pokierować rozmowę, nic go przyjemnego nie spotka. List syna aż nadto był szczery i wyrazisty.

Szambelan przez drogę miał czas wiele myśleć, a myśli te nie uczyniły go ani wesółym ani spokojnym. Mary jakie roil sądząc że Zygmunt zdobędzie swą żonę i świetną koligacją rodzinę przyozdobi... wnuki których się spodziewał... itd. itd. — wszystko to problematycznym być zaczynało. Co gorzej źle ujęte i przeprowadzone małżeństwo to cień fatalny rzuciło na przyszłość Zygmunta... Przepuszczał już nawet szambelan najsmutniejszą ostateczność — rozwód. Człowiek praktyczny, to jest redukujący każdą sprawę, do rezultatów jakie ona na kieszeń wywierac mogła... Szambelan zaczynał obliczać, ile by powinni żądać aby wszystkie plamy i blizny otrzymane powyżać.

Rezygnację zdobył przez drogę — a mimo to wzdychał ciężko... czuł się nieszczęśliwym... była to porażka wstydliva. Czuł też że żaden pieniądz opłacić jej nie mógł. W ostateczności wszakże co począć było?? musiał coś przynajmniej ocalić...

Jak Zygmunt chwilami przypisywał ojcu projekt ożenienia i zachętę do niego — tak szambelan winę niepowodzenia znowu składał na syna.

— Nie umiał się wziąć! mówił, gdybym ja był na jego miejscu! Postąpił bez taktu, zbyt gwałtownie, naraził ją sobie... zresztą... ale z temi młodemi to niema bo rady!!

Na chmurne rozmyślenia szambelana który wzdychał, mył się, stękał i przeglądał się w lustrze i pił kawę i brodę golil razem... aby czasu oszczędzić — nadszedł powołany doktor. Ledwie miał czas narzucić na siebie palto ze wstążeczkami i pobiegł wypytywać...

Konsyljarz minę czynił nader surową.

— Choroba, rzekł, jest najgorszej natury, mózg zaatakowany silnie... ale wczesne starania, młodość dają nadzieję że pacjent wróci do zdrowia, acz nie bez szwanku... po przebytej tak groźnej słabości...

Dodał, jak zwykle, że potrzeba spoczynku, unikania wrażeń silniejszych, że ojciec nie powinienby się pokazywać itp.

Uspokojony szambelan, przedłużył już tylko rozmowę aby mieć zręczność wspomnienia swych stosunków, cesarsko-królewsko - książęco - ministerjalnych... opowiedział parę anegdot o dworach na których bywał i doktora olśniewszy, wypuścił. Był pewien że po tym fajerwerku będzie mu syna leczył daleko troskliwiej... Szwajcar za drzwiami śmiał się.

Ukończywszy razem kawę, golenie, umywanie, ubranie — szambelan uznał właściwym bilet swój (zawsze ze wszelkiemi tytułami) posłać synowej, która już była przez Klarę zawiadomiona o przyjeździe gościa niespodzianego... Mimo godziny spóźnionej Olimpja kazała powiedzieć, że przyjąc może.

Stary wiele rachował na swą powagę, której właśnie mu brakło, na wymowę, która była rzeczywiście paplaniną, na wielką zręczność, która była niezgrabnym intrygantwem, i na inne swe dary, przesadnie oceniane przez właściciela, mało cenione przez ludzi.

Wszedł do saloniku układając smutne i uroczyste oblicze... Olimpja skromnie ubrana,

sama jedna, czekała nań spokojna i chłodna. Dotąd nigdy nie miała zręczności mówić z nim dłużej, a nadewszystko szczerzej, rozmowy ich ograniczały się napaściami grzeczności ze strony Szambelana — półsłowami obojętnemi Olimpji, zbywającej go się z nietajonym wstremem.

Szambelan uznał właściwym nie mógł prawie przemówić w pierwszej chwili — otarł nawet łzę, której nie wylał.

— W smutną chwilę przybywam — odezwał się, zastaję syna choć wychodzącego z niebezpieczeństwa — ale zawsze zagrożonego jeszcze długiem cierpieniem.

— Boli mnie to bardzo — odpowiedziała Olimpja. Na staraniach około chorego nie zbywało. Lekarz wprawdzie nie dopuszczał nikogo, ale moja przyjaciółka hrabina Klara...

— Jaktó? jest tu? przerwał szambelan.

— Wiele mi pomogła w tem, w czym ja uznaję moją nieudolność, bo koło chorych chodzić nie umiem...

Rozmowa westchnieniem przepleciona ustala — trudno ją było na nowo zawiązać...

Po kilku jeszcze westchnieniach, szambelan nie sądząc, aby mu wypadło rozpocząć o czem innym i wstawiać się za synem, przemówił o rzeczach obojętnych; uprzedzona wcześniej Klara nadeszła i to pierwsze spotkanie ograniczyło się na zamianie kilku frazesów zwyczajnych. Spóźniona godzina usprawiedliwiała prędkie pożegnanie. Na znak dany przez Olimpję, Klara odchodzącemu podała rękę i zaprosiła go do siebie. Tu posadziwszy go na kanapce... z czułością wielką zaczęła opowiadać o chorobie, o tem i owem, zdając się czekać, czy stary sam nie zagai o czemś więcej... Szambelan słuchał tylko.

— Nadto się dawno znamy, szanowny panie, rzekła w końcu gospodyni — abym nie miała być z panem otwartą. Pan Zygmunt sam podobno był przyczyną sobie tej ciężkiej choroby. Zbyt do serca bierze wszystko... a żeniąc się z Olimpją mógł się z góry przygotować na wiele trudności do przebycia...

— Gdyby one do przebycia i zwyciężenia były — odparł ojciec, Zygmunt byłby je mężnie przetrwać umiał, ale tu podobno spotkały go — nieprzewyciężone zawady...

— Co pan niemi nazywasz? zapytała hrabina.

— Naprzód nieszczęśliwe usposobienie mojej synowej — jej uprzedzenie przeciw temu ukochanemu dziecku.

— Porozumiejmy się — przerwała hrabina — bądź pan ze mną szczerym, mogę panu służyć za pośredniczkę. O czem panu donosił Zygmunt, co pan wie? i jakie masz na przyszłość plany??...

Szambelan, który przez całe życie miał sobie za prawo nigdy nic jasno i szczerze nie mówić, do niczego się nie przyznawać, grunt badać uważnie — z ludźmi obchodzić się jak z prochem który zawsze wystrzelić może, ukośnem wejrzeniem zmierzzył hrabinę, lecz do wyznań i otwartości tak na prędce jakoś nie miał ochoty...

— Nieskończenie pani hrabinie dziękuję, i wyrazów znaleźć nie mogę na okre-

ślenie mej wdzięczności dla niej, odezwał się ze słodyczą dyplomaty który chce antagonistę oszukać. Będę jej błagał o to pośrednictwo... będę obowiązany jeśli raczysz dać mi ten dowód przyjaźni tak dla mnie cennej — lecz dozwól mi hrabino — ochłonać z pierwszego wrażenia — przestraszu. Dziś wszystkie me władze pochłania myśl choroby najdroższego dziecięcia!... Pojmuję pani, dziś jeden plan mam — ocalić go...

Otarł oczy... Klara popatrzyła nań i umilkła. Ona nie umiając kłamać a przynajmniej źle się z tego dosyć wywiązując, uczuła się bezsilną w obec człowieka, który widocznie sprawę chciał załatwić z obmyślaną przezornością i obrachowaniem...

Dali więc sobie dobranoc.

* * *

Rzadko w życiu człowieka jedno uczucie przerosło w namiętność, powoli kamieniejące nałogiem — zapanuje nad nim i zagłuszy wszystkie inne. Lecz są wypadki, w których właśnie to co ma zgasić uczucie, rozdrażnia je i rozplomienia, są okoliczności które mu trwałość nadają — słowem są przykłady, że człowiek pozostaje wiernym nawet temu tak zmiennemu uczuciu jakim jest miłość. Nie darmo w starych romansach sławiono tak bardzo tę stałość która często przeciągała się za kres nawet panowania onych sercowych wzruszeń. Olimpja właśnie była w tem położeniu wyjątkowem, które miłości jej nadało hart niezwykły. Matka usiłowała ją zniszczyć a brała się ku temu najniezręcznie. Wspomnienie dni spędzonych z ulubionym, poetyczna ich barwa... wszystko to przykładało się do rozkołysania wyobraźni, do rozmiłowania się w marzeniu. Po powrocie z zagranicy Olimpja siedziała na wsi, niedostępna dla towarzystwa wśród którego przechodziła jak obca, sądząc że ono całe wskazuje ją palcami jako — upadłą. Z dumą walczyła przeciwko pogardzie jakiej się domyślała i upierała się przy swej miłości, która ją jedna oczyścić i usprawiedliwić mogła. Miłość ta charakterowi jej nadała energję...

Widzieliśmy dowód odwagi, w przedślubnej rozmowie z Zygmuntem — w postępowaniu jej późniejszym... Wśród tej żaloby która się jej wiekuistą zdawać mogła — nagle jak piorun zjawił się przed nią obraz przeszłości, ten którego sądziła umarłym... żywy, zmieniony ale ten sam, ten sam któremu poprzysięgła miłość. Nie wahała się ani chwili rzucić ku niemu. Gdy Klara weszła z nim do pokoju w którym Olimpja przechadzała się gorączkowo czekając na nich, gdy z siwym włosami ale twarzą młodą, z rysy stężaleni od bólu i szczęścia razem — ukazał się w progu Bratanek — Olimpja pobiegła, zarzuciła mu ręce na ramiona, twarz przycisnęła do jego ust i nie mówiąc ani słowa w niemem zachwyceniu pozostała tak długą chwilę.

Jemu łzy płynęły po twarzy, chwycił jej rękę, przyciskał do ust i płakał. Klara która zwykła była wszystko obracać w szyderstwo, aby nie okazać śmiesznego wzruszenia, tym razem zmieszala się tak, że musiała się cofnąć aby nie wydać z mokreimi

powieki. Spotkanie to po latach dziesięciu, rozstanie u dwóch trumien, — dziwna rzecz — zdawało się przywitaniem po jednodniowej rozłące. Czuli że wierni sobie pozostali i że przynosili serca też same...

Bratanek marzył, pracował, walczył, ale po idealnej chwili szczęścia jakiej doznał, nie mógł już sięgnąć po inne, po nowe, bo żadne by było nie dobiegło złotego snu dni przeżytych z nią w chatce czeskiej.

Dziwili mu się ludzie, zaglądali do tej zamkniętej piersi czując w niej tajemnicę, mężczyźni i kobiety — pozostała zapieczętowaną i milczącą. Tylko w chwilach muzycznego natchnienia burza uczuć wyrwała się tonami, falami nut... i świadczyła że tam nie taki spokój i cisza panowały, jak z pogodnej wnosić można było powierzchwni. Bratanek nie spodziewał się wcale by na wieki zerwany wieniec ten co zakwitł mu w dniach młodości, miał się rozwinąć na nowo. Gdy wyszedłszy na estradę postrzegł Olimpiję, mniej daleko zmienioną niż on sam — osłupiał, czuł jakby uderzenie w piersi i potrzebował całej siły ducha by mózgi potem odegrać swoją partję... Odszedłszy wziął to za sen i przywidzenie, gdy kartka Klary potwierdziła prawdę tego zjawiska.

Oboje znaleźli się temi samemi, lecz gdy w blasku lampy, wychudłą rękę ujęła Olimpija, zbielałe włosy młodego człowieka, tę żalobę serca wiekuistą... rozplakała się... Na rysach też muzyka, wiek i praca położyły swe piętna. On to był, ale spoważniały, znużony. Namiętności nie zeszpeciły go, ból tylko wysuszył i odarł z barwy świeżej. Olimpija jemu wydała się piękniejszą jeszcze, lecz lata z rozpromienionej szczęściem dziewczeczki, stworzyły niewiastę tragiczną.

Nawykała do obrony, do walki, osamotniona, przybrała postać greckiej jakiejś Ifigenji czy Penelopy... Niewymowna słodycz i dobroć którą się uśmiechały jej usta przemieniła się w pogardę i obojętność, w znękanie.

Nie zestarzała — dojrzała tylko spaloną cierpieniami jakich doznała.

W tem pierwszym spotkaniu nie było nic dramatycznego, gwałtownego — cicho usiedli przy sobie, ręka w ręce, patrząc w oczy, uśmiechając się, obawiając spłoszyć tę chwilę szczęścia dziwną jak sen... Zapomnieli o Klarze, która patrzyła na nich i — powiedzmy prawdę — zazdrościła...

Słów im brakło aby coś sobie powiedzieć — myśli błąkały się wiążąc przeszłość z terażniejszością, nie śmiejąc dotknąć i jutra...

Pierwsza jednak Olimpija mówić zaczęła o sobie. Bez gniewu, spokojnie opowiedziała mu cały przebieg życia swojego aż do dni ostatnich i z prostotą wielką, powtórzyła mu rozmowę przedślubną, pokazując na palcu pierścione. Bratanek słuchał, obok tego co ona wycierpiała ledwie śmiał wspomnieć co przeżył. W krótkich słowach zamknął wszystko... Jak sen dziś wydawało mu się przeżyte — byli razem...

— I pozostaniemy razem, odezwała się Olimpija, bo, spodziewam się iż wierzysz mi że cię, bądź co bądź, nie opuszczę... Byłam i jestem twoją... Rodzice mogą się mnie wyrzec... czyż we dwoje nie znajdziemy środ-

ków zapracowania na skromny chleb powszedni?...

— Ale co świat powie? szepnął on.

— Ja do tego świata nie należałam, nie należę i mowa jego dla mnie zupełnie jest obojętną. Rodzicom chciałabym oszczędzić zmartwienia — świat może mnie potępić... Podwójnem dziś przywiązaniem chwytam się ciebie, mój drogi, miłością dawną i wdzięcznością nową, za to że mnie od nikczemnego człowieka uwolnisz, którego samo zbliżenie kałało.

Rozmowie tej wieczornej nie było końca... ale Klara czuwała aby się nazbyt nie przedłużała... Chciała wyprowadzić Bratanek... Olimpija puścić go nie chciała... Względem tylko na niebezpieczeństwo i zemstę Zygmunta zmusił ich do środków ostrożności. Umówiono się więc nazajutrz rano bardzo znaleźć u brzegu jeziora... popłynąć szukać domku gdzieś u jego brzegów skrytego w cieniu drzew i tam kilka dni przepędzić, póki z Zygmuntem ułożyć coś nie dało. Olimpija ze wzgardą odzywała się i pewnością że okupi się ofiarą jakąś, że odzyska swobodę.

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

V.

(Dokończenie.)

Owalny plac, na środku kolumna Wellingtona, po bokach kwieciami częstują bukietami przechodniów. Ze wszystkich stron krzyżują się wozy ładowne towarami, omnibusy z całego Londynu nadciągają jako krew arterji do serca miasta, — powozy, kepy, tłok. Drogi wyłożone asfaltem czynią ten wielki ruch poważnym, przyduszonem, a nawet spokojnym. Przejścia byłyby zamknięte, gdyby ich nie otwierali czujni policjanci skinieniem ręki, robiąc chwilowe miejsca przechodniom.

Wśród tego wiru i zamętu, czarno przybrani dżentelmeni, zajęci własnymi myślami, na pozór roztargnieni, nie widząc nikogo, na nic nie patrząc, kręcą się jak mrówki w mrowisku wydeptanemi ścieżkami.

W około ciemne gmachy ze złotemi napisami obcych państw, krajów, nawet części świata. Bank Australji, Bank Amerykański, Austrjacko-angielski... a nieco w oddaleniu drzemie pan świata, ponury czarny Bank angielski. W około miliony, a milion milionów w pośrodku.

Otwierają się tajemnicze okiennice piwnicy, na grubych łańcuchach wysuwa się na ulicę płyta żelazna, a na niej sto brył złota. Litera A. odbita na każdej; to złoto Australji, do zmiany na drobne wydatki dla jednego z domów. Dwóch ludzi jedną bryłę zaledwo udźwignąć mogą, kładąc ją na wóz. Gromadka ciekawych chciwie pożera złoto oczami; wszyscy uśmiechnięci, wszyscy lykają ślinę...

Od połowy placu City wznoszą się wspinałe schody, a na nich portyk korynckiego budynku prowadzi na giełdę londyńską.

Na schodach usiadł mężczyzna, żółtej twarzy, schorowanych oczu, czerwona plama gorączki na jednym policzku. Spoglądał na przechodniów smutno, oczami, z których wyglądały głód

i nędza uśmiechał się i szeptał coś, jakby do siebie. Patrzył długo lecz nikt go nie widział; wszyscy zajęci — czas to pieniądz — a jest to właśnie chwila, w której wygrywa się miliony, lub traci tysiące.

Spojrzałem na siedzącego, skinął na mnie ręką, abym się zbliżył: podchodzi.

— Od czterech dni nie w ustach nie miałem — przemówił ledwo dostyżanym głosem.

Wiem ja, co jest głód, — podaje mi więc rękę, łyzy zaświeciły w jego oczach. Dałem mu znak, aby za mną poszedł: chwije się, zatrzymuje go...

— Ostrożnie, ser, nie dotykaj się mego odzienia. — Domyśliłem się...

— Oprzej rękę na mojem ramieniu — odpowiadam.

Przechodzimy przez środek ulicy; dżentelmeni oglądają się, missy patrzą zdumione, domyślając się strasznej tajemnicy, łączącej mnie z nędzarzem. — Dostajemy się nareszcie do publikhauzu — przynoszą grogu i kawałek mięsa.

— Ser, mięsa nie jadłem już trzy miesiące. Napij się troszkę.

— Jestem bardzo zmęczony, — odrzekł biedak — głowę pochylając na piersi.

— No, no — pocieszam jak mogę — jesteś młody, siły odzyskasz.

— Moja stara głowę o mur sobie rozbije. — Starej kupisz ciepłą odzież i węgli do pieca, na zimę.

— Nie kupię ser, nie kupię, ja już się podnieść nie mogę.

Nie miał na sobie koszuli, buty poobwiązywane sznurkami.

— Od sześciu tygodni sypiam nad brzegiem Tamizy, w nocy zimno, rano mgła przejmuję do kości. Nadchodzi dzień i znów głód pali.

— Cóż to za przyczyna takiej nędzy?

— Opuściłem wioskę, aby szukać zajęcia. Z początku pracowałem przy kolei, — robota się skończyła, oddalono nas; poszedłem więc z innymi do Londynu. Przez dwa tygodnie nic nie znalazłem, zapasy się zjadły, zastawiłem co było można, schudłem i wynędzniałem.

— Odpocznij; napij się i zjedz jeszcze cokolwiek.

— Ser, ja już jeść nie mogę, przyszedłeś zapóźno! — Gorączka widocznie się wzmagała.

— I nic nie znalazłeś?

— Gdzie tylko zaszedłem, odprowadzono mnie jednym słowem: goan! (idź precz). Później wrzucano tylko ramionami, odwracając się odemnie.

— Dlaczego nie udałeś się do Workhauzu?

— Do Workhauzu (domu roboczego) tyle prawie u nas znaczy, co do więzienia... czyż tam idzie się dobrowolnie? Miałem nadzieję z dnia na dzień, a gdym ją stracił, po cóż iść?

— Pojedźmy, odpoczniesz, nakarmią cię, nabierzesz sił, robota się znajdzie.

— Rób ser jak chcesz, tylko mnie na ulicy nie zostawiaj.

Przywołałem jednokonną karetkę; zaledwie ruszyliśmy biedak zasnął natychmiast.

Zajeżdżamy przed obszerny budynek na City-road.

— Patrzcie, w waszej wielkiej Anglii ludzie na ulicach z głodu umierają — odzywam się do jednego z dygnitarzy Workhauzu, który przyjmował chorego.

— Dla czego nie przyszedł wcześniej?

— Strzygą, gola, w mundur ubierają — mówił biedak z goryczą.

FRANCJA - DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia“ napisana

przez

J. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

V.

DZIENNIKARSTWO.

Około tego czasu Vermorel, młody jeszcze, założył dziennik. Był to człowiek uczony, oddany sprawie republikańskiej i śmiały. Dziennik jego zabiły kary pieniężne. Vermorel był autorem dzieła *Hommes de 1848 et hommes de 1852*; on pierwszy ośmielił się poruszyć legendę o demokracjach roku z 1848 i udowodnił, że byli to przedewszystkiem mieszczańskie i do tego bardzo konserwatywni. Vermorel, wielce uczony, podniósł kwestję szczególną i wskazał nowe prawo narodów. Znakomitą była jego polemika z cesarstwem. Nie przyjął on pojedynku z bandytą cesarskim Pawłem de Cassagnac. Nie brakło mu jednak odwagi; wiadomo bowiem że zginął na na barykadzie w maju 1874 roku.

Le Reveil założony pod protekcją i za pieniądze Ledru-Rollina przez przyjaciela jego Delescluze, wyszedł także ze szkoły „młodych ludzi“, którzy w następnych wypadkach doszli do pewnego rozgłosu. Dziennik ten, cokolwiek za doktrynerski, mało był czytany; lud lubi, by mu rozgrzewano wyobraźnię, nie męczono scholastycznymi rozprawami o polityce.

Sam *Figaro* stał się politycznym, co także było oznaką czasu. Czasami zadrasnął władzę, chociaż nie miał żadnej barwy i był więcej żartobliwym aniżeli poważnym. Pozostał on dziennikiem próżniaków, ludzi bez zajęcia, tak zwanych *gandins*, jak wtedy tytułowano młokosów. Dyrektor jego, Villemessant, zręczny przedsiębiorca dziennikarski, tak skrzętnie poprowadził sprawę, że dziennik został kupiony przez cesarstwo, które wprowadziło doń ajenta bonapartystów Juljusza Richard. Od tego czasu *Figaro* stał się liberalnym; w końcu przeszedł do obozu legitymistów.

Inni „młodzi“, należący do opinii bardzo różnych, także się przebudzili w owej epoce. E. de Girardin, szczególny patriota, prowadził w dzienniku *Liberté* w dalszym ciągu ową dzwaczłą politykę, którą inaugurował w *Presse*. Dawny sensymonista, Gueroult, stawiał wielce platoniczną opozycję przeciw rządowi w dzienniku swoim *Opinion nationale*. Dziennik *Journal des Débats*, organ orleanistów, z wyborem pisarzy wykazywał w dalszym ciągu, że najlepszym rządem jest monarchja konstytucyjna i zawsze był pełnym uwielbienia dla politycznych obyczajów Anglii. Pomiędzy tymi pisarzami wyszczególniono John Lemoine'a, Prevost-Par-adola, który następnie odebrał sobie życie będąc posłem w Nowym Yorku, z powodu że uwierzył w cesarstwo, St. Marc-Girardina i nakoniec wiernego J. Janina, niedawno zmarłego, który w tygodniowych swych feljetonach teatralnych głaskał publiczność wypieszczonym stylem.

La Marseillaise zamyka tę serję. Podrzedniejszego organa pomijamy. *La Marseillaise*, założona przez Rocheforta, gdy ten został wybrany deputowanym, dobitnie cechuje koniec cesarstwa. Okropny wypadek, a mianowicie zamordowanie Wiktora Noir przez jednego z Bonapartych sprawił, że uwięziono wszystkich jego redaktorów.

Aresztowanie to, pogrzeb zabitego, co cały Paryż pamięta, tylko co nie podłożyły ogniu pod prochy. Rochefort został uwięziony, Paskala Grousseta, obecnie znajdującego się w Londynie, dwóch żandarmów prowadziło do sądu dla zeznań w procesie. Ziemia drżała pod tronem Napoleona. Potrzeba było odważnie wystąpić by powstrzymać piętrzące się fale rewolucji. Cesarz wypowiedział wojnę.

W blokowanym Paryżu dziennikarstwo z innego zaczęło tonu. W stolicy zamknęło się wielu ludzi wygnanych przez cesarstwo. Dawniejsi dziennikarze znowu wzięli się do pióra. Feliks Pyat założył dziennik *Le combat*. „Dziś karabin, jutro narzędzie rzemieślnicze“ mówił on; ale dodawał te groźne wyrazy: „Tak; weźmiemy się napowrót do narzędzi pracy, ale zawsze przy karabinie.“ Feliks Pyat, rewolucjonista ponury, niespokojny, podejrzliwy, posiadał cały urok stylu schlebiającego ludowi. Jest on obrazowy, ale ścisły. Oderwany jego frazes występuje jakby hasło; deklamacja pełna jest wspomnień dawniejszej republiki. Dziennik jego miał wielki wpływ. On jeden wszakże w nim świecił.

Obok niego walczył jeszcze jeden stary bojownik demokracji, Blanqui. Dziennik tego ostatniego p. t. *La patrie en danger*, ze swem gwałtownymi zapowiedziami, z nieufnością, będącą w naturze samej autora, z pogrozkami, które wybuchły faktem 31. października — był jakby prorokiem tego złowrogięgo obrotu. Wszyscy dawni spiskowi znaleźli się tam. Żyjąc ciągle w ciemnościach, jak sowa, zdaje się, że Blanqui pisał w piwnicy, jak Marat. Dziwiono się znalazłszy w nim dobrego taktyka. Rozważa on fakta spełnione i nielitościwie przepowiada ich skutki. Zapowiada ruinę, denuncjuje podłości i jak Pyat, sądzi że wynik tego wszystkiego wyjdzie na korzyść ludu. Blanqui jest stylistą surowy i dobitny, posiada on język XVIII wieku, nie posługuje się obrazowaniem, nie ucieka się ani do paradoksu ani do antytezy, ale pisze jak mówi, prosto. Dokoła niego grupuje się interesująca falanga młodych ludzi, z których jeden, Tridon, dziś nie żyjący, był uczonym, erudytem rewolucji, spadkobiercą doktryn Heberta. Inni, jak np. Eudes, przedstawiają typ poświęcenia i odwagi. Stary Blanqui zawsze miał przy sobie tę młodzież. Posługiwał się nią dla osnucia nie wiem już wielu spisków, w czasach kiedy się już nie spiskuje.

Inni młodzi przez ten czas notowali porażki, opisywali bitwy, bezbarwnie, bez należycie obmyślanego celu, bez talentu. Dziennikarz w owej epoce musiał zarazem być pisarzem i gwardzią narodowym.

Po kapitulacji, generał Vinoy jednym zamachem pałasza skasował wszystkie zawiadujące dzienniki. Paryż powrócił do wszystkich swych gazet; gdy nastąpiła komuna, porodził ich mnóstwo najrozmaitszego rodzaju.

Jednym z przedstawicieli tej młodzieży, wymagającej i zbuntowanej, był Juljusz Valles. Pisarz ten, wielkiego talentu jako stylisty — realista, był przedtem obrońcą wyjątkowej klasy społecznej, którą nazwał *les refractaires*. Opisał on cierpienia tych ludzi, którzy wynikłszy ze zbyt przepełnionej społeczności, zanadto zużyci, zanadto samolubni, nosili zatłuszczone suknie opchane rękopismami, owocem ich czuwań. Dzieło jego ułatwiło mu wejście do „Figara“, w którym napisał szereg artykułów pełnych humoru, ale nacechowanych ulubioną jego myślą, co niespo-

— I każą pracować — przerwał dygnitarz Tego roku z kolei 76ty wypadek; w roku poprzednim mieliśmy ich w Londynie 107 podług statystyki; podług mnie 112.

— Sto siedm?! zawołałem oburzony.

— Podług mnie 112cie, i stoję przy swoim, chociaż nie lubię się sprzeczać. Ten biedak kwalifikuje się do szpitalu; dostanie zupę i kąpiel — doktor przyjdzie za godzinę.

— Miej nadzieję mój przyjacielu, — odzywam się do nieszczęśliwego.

Chory przywołał mnie bliżej do siebie.

— Ser, napisz do mojej starej.

— Dobrze, lecz cóż jej donieść?

— Napisz jej tylko ser, że ja żyję — Alfred Harding....

— Nie jestem bogaty, poszłę jej co będę mógł, pomyśli, że pracujesz.

— Pomyśliżem nie w Workhauzie; stara i ja, — tylko nas dwoje na świecie....

Odprawdzono nieszczęśliwego.

— Alfred Harding — 76ty i nie myślę się, że nim będzie. Za trzy dni przyjdź ser, a przekonasz się, — że zastaniesz skonstatowaną śmierć z zapalenia płuc, lub kiszek, oraz ogólne wycieńczenie z braku pokarmu. Filip Pikok ma dobre oko i długie doświadczenie: tacy nie wychodzą. Gdy to mówił Filip Pikok, dygnitarz Workhauzu, bił się palcem po białej kamizelce, a potem lekko oblizywał.

— Panie Filip Pikok, jesteś zasłużonym mężem!

— Dwadzieścia lat ciężkiej pracy w Workhauzie, trzy kroć sto tysięcy ludzi przesuwają się przecięciowo dziennie, pod naszą opieką, w samym Londynie, i dla tego to starganą siłą, stęranie zdrowie. — W tej chwili Filip Pikok lekko musnął ręką po okrągłej wypukłości, która dość silnie podnosiła jego kamizelkę.

Biedny ludu zostawiony sam sobie na pastwę nędzy i konkurencji! Zdobyłeś wolność, a nie wiesz, co z nią zrobić, pragniesz pracy, a jednak do niej tylko przebojem i walką dostać się możesz. I gdy ci zabraknie sił do jej zdobycia, umierasz wydziedziczony nędzarzu, sam jeden, bez oparcia, pod opieką workhauzu, z piętnem upokorzenia, lub z głodu, boś się nie nauczył korzystać z wolności!

Organizacja, stowarzyszenia, społeczeństwa w społeczeństwie, to są klasy, kasty, cechy dziesiętnastego wieku i przyszłości.

Niech żyje wolność, precz z opieką, która zawsze i wszędzie daje niezdarność, słabość, ospałość, a w rezultatach, tylko znikczemnienie i niewolę. Niech żyje wolność, chociażby tysiące wydziedziczonych z głodu umierało, lecz niechaj z nią wzrasta wychowanie! Gdy w obec nauki nie będzie wydziedziczonych, nie będzie ich potem na arenie życia, zniknie nędza i upodlenie u ludu, a hańba dla narodów i ludzkości. Organizacja, stowarzyszenia, znajdzie się miejsce dla wszystkich i prawo życia dla wszystkich; straszne teorie Malthusa grożące ludzkości, zbledną i rozwieją się, wszyscy zasiądą przy obfitym stole przyrody, w stowarzyszeniach i organizacji, jeżeli wychowanie uzdolni ich do tego.

Niech żyje wolność, gdy w rękach swych trzyma tylko jedne, jedyne kajdany, — przymusowe nauczanie!

Koniec serji pierwszej.

dobalo się czytelnikom tego dziennika. Vallés założył czasopismo *La Rue*, które dość miało rozgłosu w świecie literackim akademickim; zdobył się na nowe efekta i stworzył uczniów. Za czasów komuny Vallés był kierownikiem dziennika *Le cri du peuple*. Tam rozszerzył swą zasadę i cały naród umieścił pomiędzy wydziedziczonymi. Naturalnie że był gwałtownym i odgrazającym się. Cała nienawiść, nagromadzona latami cierpień, wybuchła. Dziennik jego zawsze pozostanie ciekawą, polityczną i literacką pamiątką tych dziwnych czasów. Maroteau, który założył *La Montagne*, był to mózg chory. Wiadomo jakiego hałasu narobiło jego skazanie na śmierć. Był to człowiek o wybujałej wyobraźni, zamilowany w stylizacji i obrazowaniu, ale szukał efektu w najbardziej wrzaskliwych gamach. W szesnastym roku życia wystąpił naprzód w dzienniku *La Rue* Vallésa; za cesarstwa napisał kilka podburzających pamfletów.

Rochefort w dzienniku *Mot d'ordre* odzyskuje ton i przymioty pamflecisty, jakie miał w „Latarni.“ Rochefort, który sam przybył by się zamknąć w zbuntowanym Paryżu, został skazany za to, że służył w komunie, której wszakże nie pochwałal. Dziś Rochefort, uciekający z Nowej Kaledonii, znowu rozpoczął publikację „Latarni.“

Nie widać tego by rząd „moralnego porządku“ z r. 1873 i 1874 przychylnie wpłynął na pismienictwo dziennikarskie. Stan obłężenia, to jest miecz Damoklesa zawieszony nad dziennikami, tłumi każdą myśl niezawisłą. Powróciło do życia dziennikarstwo półurzędowe; chce mówić o dziennikach otrzymujących hasło z ministerstwa. Polemika, która nie powinna przekraczać pewnych granic przyzwoitości, przerodziła się w skalowanie. Między innemi, dzienniki bonapartystów, stopniowo podnosząc ton, doszły do pisania obelg najbardziej grubiańskich. Prasa republikańska zaledwie istnieje. W ostatnich czasach wiele dzienników padło ofiarą mściwości reakcjonistów.

Dziennikarstwo prawdziwie francuskie umarło. Kto je zabił? Ucisk stanu obłężenia. Kto odrodzi? Wolność. (C. d. n.)

IDEALISCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

ROZDZIAŁ I.

(Ciąg dalszy.)

Słońce majowe patrzyło już bardzo z góry na trudy i kłopoty, na uciechy i smutki ziemskie, gdy p. Alfred w powrocie do domu pożegnał na ulicy dwóch przyjaciół, z którymi rozstanie się musiało mu być podwójnie bolesnem, zważywszy, iż unosili z sobą nietylko po częście jego serca, ale nadto, całą duszę jego pugilaresu. Martwe jedynie zwłoki tego towarzysza dobrej i złej doli spoczywały w kieszeni p. Alfreda. Bohater nasz obejrzał się w około, rzucił badawczy wzrok na swoją toaletę, poprawił ją nieco i puścił się szybkim krokiem w dzielnicę miasta, która stanowiła jak najmocniejszy kontrast z elegancką jego powierzchownością. Były to brudne zaułki, ciemne, wilgotne i cuchnące. Pojawienie się człowieka od biedy schludnie ubranego było tu nadzwyczajnem zjawiskiem; widziało się tylko nędzarzy chrześcijańskich, noszących wodę lub oddających inne

usługi tego rodzaju, niemniej od nich nędzemu proletarjatowi żydowskiemu. Od czasu do czasu spotykało się postać pejsatą w długim chalacie, mruczającą pod nosem hebrejskie modlitwy poranne, i wlokącą się po bruku z wyrazem obojętności i indolencji prawdziwie orjentalnej. Dalej znowu całe grupy takich postaci, szwargocące żywo, lub rozlażące się i rozbiegające w różne strony stosownie do natury swoich interesów; co krok, sklepik z wiktuałami i różnościami, co drugi krok, szynk, który otwierano i odświeżano niby i z którego wytrącano jakiegoś zaspanego, obdartego włóczęgę. Kto nie był w Polsce, albo na Wschodzie, zdumiałby się, jak mogą ludzie żyć w takiej atmosferze, i zastanawiałby się długo nad tem, jakie też stworzenia boskie zjadają i spijają te wszystkie ingredjencje, których woń zatrzuwała tutaj powietrze. P. Alfred nie miał ani czasu ani humoru do czynienia jakichkolwiek spostrzeżeń, skręcił szybko z jednego brudnego zaułka w drugi jeszcze brudniejszy i ciemniejszy, i stanął przed kamienicą, która sama przez się mogła zwrócić jego baczność na siebie, jako istny cud architektoniczny. Mury jej były tak odrapane, tak spacone, a tak kunsztownie popodpierane i połatane, że nawet oko znawcy nie zdołałoby dociec, na podstawie jakiegoś prawidła mechaniki dwupiętrowy ten budynek nie rozpadł się już oddawna. Przez drzwi z ulicy widać było tylko ciemną czeluść, w której głębi znajdować się musiały schody. Pan Alfred rzucił okiem na numer nad drzwiami i śmiało wkroczył w sieni, szukając rękami wejścia na górę. Szczęśliwy traf ułatwił mu to poszukiwanie — schody trzeszczały bowiem właśnie pod ciężarem jakiejś biednej, ale pijanej trochę starej posługaczki, która schodziła na dół z próżnemi konewkami. Wróżba nie była dobrą, ale przynajmniej, dzięki temu spotkaniu, słuch mógł być przewodnikiem tam, gdzie nawet koci wzrok byłby odmówił służby. P. Alfred odepchnął babę na bok, chwycił się poręcza i mozolnie począł pięć się w górę, bez względu na to, iż na oko cały gmach wydawał się za słabym, by udźwignąć ciężar jednego człowieka. Po długiej wędrówce, w czasie której zamiast dwóch pięter możnaby ich było naliczyć pięć, p. Alfred dotarł nakoniec pod strych i znalazł się w pomieszkaniu p. Arona Goldsteina, swojego ministra finansów. U drzwi cofnął się trochę — atmosfera złożona z azotu, kwasu węglowego i wszystkich innych gazów, z wyjątkiem tlenu, buchnęła z izdebki tak nieprzebytym na pozór prądem, że wejście zdawało się niepodobnem. A jednak, wśród tej atmosfery, wśród mnóstwa obrzydliwych i połamianych gratów, wśród ogromnych stosów pierzyn, niepranej bielizny, potłuczonych garnków i wyszczerbionych talerzy, pięciu młodych Goldsteinów, pani Goldsteinowa, jej córka, zięć i jeszcze troje drobiazgu z trzeciego pokolenia tej samej rodziny używało słodczy snu i wczasu. P. Alfred wszedł tedy rezolutnie w przybytek, tak oczywiście mieszkalny, i zastał panią Goldsteinową przy toalecie porannej. Była to ceremonia nader mało skomplikowana, składała się bowiem jedynie z kilku ruchów takich, jakie wywołuje zazwyczaj uczucie swędzenia w plecach i w nogach, jakoteż, z wkładania bardzo przestronnych trzewików, udeptanych tak, że osobie niewybrednej mogły wybornie służyć za pantofle.

— Dzień dobry pani Goldsteinowej! Jak pani ślicznie wygląda! Jak róża! — przemówił p. Alfred najmiłszym swoim głosem. — Dzieci pani, spodziewam się, zdrowe?

— Nu, poco nie mają być zdrowe? — odparła descendentka Sary, Rebekki i Racheli, której ani wejście p. Alfreda, ani jego komplementa nie poruszyły wcale i nie zniewoliły do zaprzestania owych ćwiczeń porannych, mających niejakie podobieństwo z szwedzką gimnastyką pokojową.

— A gdzie jest mąż pani? —
— Gdzie ma być? Poszedł do szkoły! — I pani Goldsteinowa, wdziawszy pantofle, zabrała się do przelewania mleka z większego garnka w mniejszy, z wielką systematycznością i bez wszelkiego zbytecznego pośpiechu. — *Sure, Sure* — dodała — *haste precedet de myłych?*

— *Sy nyszt gowejn ka szmate* — odezwał się z pod pierzyny drugi głos kobiecy, więcej ospały i krtaniowy, niż świeży i srebrzysty.

Zgrać się, nie spać, potrzebować pieniędzy, szukać faktora w jego zaciszu domowem, nie zastać go, a natomiast być obecnym przy szukaniu „szmaty“ mającej służyć do cedzenia mleka, i przy innych porannych zajęciach familji Goldsteinów — oto początek kampanji całodziennej, który świętego mógłby pozbawić cierpliwości. Ale p. Alfred nie rozgniewał się, i pożegnawszy panią domu równie uprzejmie, jak ją przywitał; ostrożnie spuścił się napowrót na ulicę po trzeszczących schodach, i udał się w stronę, w której była „szkoła“, czyli bóżnica. P. Goldstein był śnać równie gorliwym i pobożnym wyznawcą swojej religii, jak pani Podwalska swojej — p. Alfred czekał bowiem więcej niż pół godziny przed drzwiami synagogi, nim ujrzał wychodzącego z niej powiernika swoich kłopotów, który natychmiast spostrzegł go i pospieszył ku niemu. Nastąpiła krótka rozmowa, której treści nie powtarzam, postanowiwszy nie wdawać się w interesa prywatne moich bohaterów, więcej niż tego wymaga wątek mojej powieści. Za chwilę, p. Alfred zdążył już do swojego mieszkania, dokąd miał w ślad za nim przybyć p. Aron w celu dokończenia negocjacji rozpoczętej pod synagogą. Pół do ósmej było na zegarze miejskim, gdy przechodząc przez plantacje tworzące spacer publiczny, pan Alfred spotkał p. Trzeczyszczakiewiczową i obydwie jej elewki, z książkami do modlenia, szklankami i bankami wody mineralnej w rękach.

— Panie, jak widzę, korzystają z precudnego poranku — przemówił p. Alfred, przywitawszy się z damami.

— Bijemy wodę, ja i Wandzia, a oprócz tego, zimą i latem bywamy zawsze na mszy porannej u OO. Jezuitów. *C'est sublime!* Nie uwierzysz pan, jak przykładnie, z jakim namaszczeniem ksiądz Ignacy odprawia służbę bożą! To tak mi pokrzepia duszę, tak ją podnosi do Boga, *je ne saurais vous l'exprimer!* Szkoda, że pan nie bywa na mszy porannej!

— Owszem, pani dobrodziejko, wracam właśnie z kościoła, ale od Karmelitów. Tam mniej natłoku, mniej może... roztargnienia... chociaż niewątpliwie u OO. Jezuitów wszystko odbywa się uroczystiej, poważniej.

— O, wiem ja dobrze, że panowie wszyscy macie *des préjugés* przeciw OO. Jezuitom, chociaż pan jesteście jeszcze o wiele lepszym od innych, pod tym względem. *Les Carmes...* o, to także bardzo pięknie, bardzo! Tylko że msza tam bywa wczesnie, o piątej, nieprawdaż? Tu pani T. rzuciła badawcze spojrzenie na p. Alfreda.

— Jest i druga msza o pół do siódmej i z tej właśnie wracam — chociaż nie prosto. Wyszedszy z kościoła, nie mogłem oprzeć się pokusie przypatrzenia się naszemu pocziwemu, po-

bożnemu ludkowi, który garnie się do świątyni z taką gorącą, szczerą wiarą i wynosi z niej ziarno zdrowej nauki. Szczególnie wzruszyła mnie jedna staruszka, może już siedmdziesięcioletnia, i trochę niedowidząca. Niosła ogromny kosz w rękę i mozolnie gramoliła się ze schodów — byłaby z pewnością upadła. Pomogłem jej zejść i wdałem się z nią w rozmowę. Co to za prostota, co za pobożność szczerą i głęboką! Nieboga mówiła mi, że ma w domu dwoje wnucząt chorych, i że nie mogąc im niczem pomóc, szuka ulgi i znajduje ją w modlitwie. *Vous pensez bien*, że dałem jej, co miałem przy sobie...

Tu p. Alfred otarł ukradkiem dwie szlachetne łzy, które mu wycisnęło z oczu to wzruszające wspomnienie, analogiczne wprawdzie, ale nieco odmienne od wspomnienia ze schodów p. Goldsteina.

— *Toujours genereux, toujours bon et charitable!* — zawołała z uwielbieniem pani Trzecie-szczakiewiczowa i trzy pary niewieścich oczu zalały się łzami, wpatrując się w piękne, szafirowe źwierciadła duszy p. Alfreda, jakoteż w jego jasne wąsy i bródkę. — O, Bogu dzięki, Bogu dzięki i Jego Matce Najświętszej, że są jeszcze tacy ludzie na świecie! Brrr... nie uwierzysz pan, panie Alfredzie, jaką zgrozą przejmuję mnie ten p. Zamecki, który bywa u pani Podwalskiej. Ten człowiek, panie, to istny potwór. Ust nie otworzy, żeby nie powiedział jakiego bluźnierstwa. W nic nie wierzy, z wszystkiego się naśmiewa. *Et puis, il est si commun!* Człowiek bez poezji, bez jakiegokolwiek szlachetniejszego instynktu, nawet bez wychowania. Dziwię się niezmiernie pani Podwalskiej — jabym takiego człowieka nie puściła na próg mojego domu.

— *Est-il possible* — odezwała się nieśmiało jedna z pań — aby p. Zamecki, jak mówią, starał się o Helenę?

— *On dit* — odpowiedział p. Alfred, ruszając ramionami, jakby go to nic nie obchodziło. Panienci trąciły się nieznacznie łokciami i spojrzwały jedna na drugą.

— Ale jakże można przypuszczać coś podobnego — zawołała p. Trzecie-szczakiewiczowa. — Helena, ten anioł, ta istota taka idealna... powiem nawet, egzaltowana do tego stopnia, że ja sama nieraz gniewam się na nią i radzę pani Podwalskiej, aby uczyła córkę patrzeć się nieco zinniej i praktyczniej na świat i na ludzi... Nie pojmuję, jak można mówić jednym tchem o Helenie i o p. Zameckim! *Ce serait une horreur!*

— *Mais, chère tante* — zauważyła młoda deklamatorka — wszak mówiliśmy o zamiarach p. Zameckiego, a nie o Helenie.

— A, zapewne. Ja też chciałam powiedzieć, że nie wierzę wcale, by p. Zamecki miał jakie zamiary. Taki materialista, u którego pieniądź musi być jedynym Bogiem i jedyną świętością. *Grand Dieu, pardonnez-moi ce blasphème!* — taki materialista nie ożeni się bez posagu, a Helenka nie jest w tej mierze wcale świętą partją. P. Zamecki, *c'est autre chose*, i zważywszy stronę praktyczną życia, której w dzisiejszych czasach lekceważyć nie można...

Strona praktyczna życia przesunęła się w tej chwili koło całego towarzystwa, w postaci p. Arona Goldsteina, który zerknął znacząco na p. Alfreda. Ten pospieszywie pożegnał się z damami i odszedł, zostawiając je w mniemaniu, że przedmiot rozmowy dotyczył go zbyt boleśnie, by mógł zajmować się nim dłużej. Mimo skromnej mojej roli kronikarza suchych faktów zmuszony

jestem wyrazić przypuszczenie, iż w tej chwili więcej od przedmiotu rozmowy boleć musiała p. Alfreda rana, jaką sobie zadał oddając owej sędziwej „staruszce“ pod Karmelitami, „wszystko, co miał przy sobie.“

Pani Trzecie-szczakiewiczowa i dwie jej młode towarzyski nie skończyły były jeszcze nieuniknionych komentarzy do swojej rozmowy z p. Alfredem, gdy nadszedł p. Zamecki, trawiony prawdopodobnie niecierpliwością pomówienia z owym „Karolem“, o którym wspominał wczoraj w wieczór, kładąc się spać. Starsza z elewek, ta sama, która zrobiła była spostrzeżenie, że p. Alfred ma więcej długów, a p. Zamecki więcej dochodu, niż ogół śmiertelników, obecnie zauważyła, że p. Tadeusz na ulicy prezentuje się wcale lepiej, niż w salonie. Nie wydał jej się znowu tak bardzo starym, jak wszyscy mówili — owszem, był to mężczyzna w sile wieku, okazałej budowy i dość przyjemnych rysów twarzy. Młodsza paniienka natomiast, ta sama, która nazywała p. Trzecie-szczakiewiczową *chère tante*, z prawdziwą zgrozą patrzyła na tego Antychrysta. Serce jej się ścisnęło na myśl, że Helena może paść jego ofiarą, i w boleści tej pocieszała ją jedynie myśl, że gdyby Antychryst porwał Helenę, Alfred, piękny, szlachetny Alfred, pozostałby nie porwanym przez nikogo...

P. Zamecki był człowiekiem dawniejszego wychowania, co znaczy tyle, że był człowiekiem niezmiernie, uprzedzająco ugrzecznionym w obecnym, podczas gdy ludzie nowszego wychowania bywają takimi chyba wyjątkowo. P. Trzecie-szczakiewiczowa była także grzeczną, najpierw z urzędu swego, a powtóre, ponieważ religja zaleca pokonywać słodyczą nieprzyjaciół wiary. Ja sam, kiedy raz miałem nieszczęście w skutek jakiegoś nieporozumienia oplakanego uchodzić za nieprzyjaciela wiary i niektórych klasztorów, doznałem tej słodyczy ewangelicznej: Ojcowie Jezuiti przysłali mi bilet z powinszowaniem Nowego Roku, i z prośbą „o życzliwą pamięć.“ Kryło się wprawdzie w tym miodzie klasztornym żądło przycinku gorzkiego, dano mi bowiem do zrozumienia, iż jakakolwiek, życzliwa lub nieżyczliwa pamięć z mojej strony, nie psuje OO. Jezuitom ani apetytu, ani humoru, ale miód był bardzo słodki i samo zwrócenie uwagi na mało znaczącą moją osobę było bardzo pochlebne. Pani Trzecie-szczakiewiczowa prześcignęła atoli w tym wypadku wielebnych Ojców o tyle, że w miodzie jej mowy nie było żądła. Wdała się w nader ożywioną konwersację z p. Zameckim, i robiła mu wyrzuty, iż nigdy nie wyświadczył jej zaszczytu odwiedzenia jej domu. Nadmienila przytem, że około pierwszej po południu, Helenka nieraz wpada do niej, jeżeli jest w mieście. (C. d. n.)

PAMIETNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jenców w Sandomirskim, Krakowskim, i Kaliskim mieliśmy bardzo dużo, i żeby to byli Francuzi albo Polacy, mogli być straszniemi w tyle armji; ale Moskale spokojnie siedzieli, sypali drogi za co im nie źle placono, nie brali pałek, co im się bardzo podobało, dobrze żywieni i trochę odziani, nie wzdychali do powrotu pod swoje

zwojewództwo jakiegoś oddziału. Wielu z nich zaciągało się do naszego wojska, i dobrymi byli żołnierzami, rzadko który uciekał. Oficerowie grali między sobą po większej części na kredyt, i ogromne sumy wygrywali lub przegrywali. Ciekaw jestem czy po powrocie do kraju pamiętał który z nich, ile miał do zapłacenia. Była to po większej części wielka hołota, i nieraz karczemne bójki miały między nimi miejsce.

Wróciłem do obozu; zastałem tam nowych kilka oddziałów. Jedenasty pułk strzelców pieszych, wprawdzie z kosami tylko, ale silne 2 bataljony. Szwadron zbiorowy, młodej jazdy, którego komendę objął zaraz mój kolega Radziwiński. Był tam pluton pułku lubelskiego z p. porucznikiem Sewerynem Rulikowskim, a że to był bardzo niezdatny oficer, więc Koliński, co z nami przyszedł objął go. Zastałem także te 40 koni z Legji Nadwiślańskiej, które, jak wyżej mówiłem, wsadziłem w nocy na koń; przez czas, comich z oczu stracił, wyrobili się w ciągłych podjazdowych marszach, i obopólnie bardzośmy kontenci byli ze spotkania się znowu razem. Na życzenie tej młodzieży, i porozumiewszy się z Karolem Różyckim, zrobiliśmy to, że ten oddziałik wcielony został do Wołyńców; osobny szwadronik formował, i wraz z nim walecznie się odznaczył.

Zastałem także nowo przybyły mocny pluton z rezerwy 7 ułanów z augustowskiego pod komendą kapitana Bielaka, tatarą, z grodzieńskiego. Służył on przed powstaniem w gwardji ułanów moskiewskich w Warszawie i zaraz po 29 Listopada przeszedł do wojska narodowego, pamiętny, że ojciec jego pod Kościuszką służył, i bardzo się odznaczył. W tym plutonie sami tylko prawie byli Tatarzy. Sliczny był to człowiek ten Bielak; wielkiej osobistej aż do szaleństwa waleczności, z oczami płomienistemi, rykami wschodniemi ale szlachetnemi. Nie długo się nim cieszyliśmy, bo w parę tygodni po poznaniu się ze mną, gdyżśmy obydwaj stali koło naszych armat odstrzeliwujących się artylerji dońskiej, kula z janczarki trafiła go w same serce; w pół słowa zamilkł, i żyć przestał. Trudno sobie wystawić rozpacz jego współwznowców i młodszego brata; pałaszami i pazurami grób mu wygrzebali, zwłoki złożyli i złali gorącemi łzami.

W sztabie zastałem ruch wielki; generał związał się, i ciągle tabaczkę zażywając, (bo mu tabakierki podstawiano) z rozpromienioną chodził twarzą. Wydawał ciche rozkazy, rozsyłał oficerów do oddziałów korpus składających, ciesząc się jakąś szczęśliwą myślą. Było w sztabie dwóch obywateli z okolicy, jeden p. Załęski, niegdyś oficer z czasów Napoleońskich, drugi nie pamiętam kto.

Jak mnie generał ujrzał, wziął mnie na bok z Kaczanowskim i Janem Ledóchowskim, sławnym posłem sejmu, który pierwszy wyrzekł w uniesieniu: „Nie ma Mikołaja!“ Zawiadomił nas, że dowiedziawszy się od tych obywateli, co byli w sztabie, o bardzo słabym obsadzeniu szanca przedmostowego w Kazimierzu, naprzeciw Janowca, postanowił szybkim marszem nocnym, napaść tę pozycję, opanować most tak nam potrzebny do komunikacji z prawym brzegiem Wisły; albo gdyby się nam nie udało utrzymać się, zniszczyć ten most. Ledóchowski dawniej oficer wyższy w czasach Napoleońskich, odcięty od sejmu na którym posłował, nie chciał być nieczynnym, więc prosił Generała, żeby mu dał

pod dowództwo jaki oddział Rożycki z wielkiem uwielbieniem był dla śmiałości i wymowy parlamentarnej Ledóchowskiego. Wielce go to ucieszyło, że tak znakomity w kraju człowiek, chce walczyć w jego szeregach; ofiarował mu 11 pułk strzelców, i w dodatku pluton artylerji, świeżo sformowany: to jest 3 armaty 3 funtowe żelazne, lane i osadzone na lawetach.

Nie do darowania jest niedbałość tak Rządu Narodowego jako też i Naczelnego Wodza którzy do fabryk mogących dostarczyć materiał wojenny nie posłali ludzi fachowych, tylko spuszczały się na miejscowych namiestników, nie mających najmniejszego wyobrażenia, co jest działo, jaka powinna być ilość metalu, ażeby go proch nie rozerwał; dla tego też, te 3 trzyfunto- wki, które miały doniosłość bardzo małą, były tak ciężkie, jak spiżowe 12to funtowe armaty, do tego lawety, także stosunkowo na tak wielki opór wyrachowane, że ciężar ten niepotrzebny wymagał 6 do 8 koni. Dodać do tego artylerzystów młodych przysłanych z Warszawy, po odbyciu bardzo krótkiej i niedostatecznej szkoły artylerji gwardji narodowej. Z dobremi to chęć- ciami była ta młodzież ze szkół niższych po- zbierana, ochocza, śpiewająca, póki pogoda. Przez całe tych armat w korpusie naszym istnienie, raz tylko można ich było użyć; w rejteradzie do Galicji, zatopiono je koło Bobrek niedaleko Zatora; „requiescent in pace!“ Ale wróćmy do przedmiotu.

Pierwsza rzecz była, żeby korpus nasz przygotować do nastąpić mającego ruchu. Dotąd ani porządku wewnętrznego, ani — na przy- padek — marszowego nie było zaprowadzonego. Generał ciągle cieszył się zbierającymi oddzia- łami; cieszył się duchem, to jest śpiewami pa- trjotycznymi, i mowami zapaleńców. Szef sztabu, kapitan Różycki, nie krewny nawet Generała, był bardzo dobry i miły człowiek w towarzy- stwie, ale najniezdolniejszy oficer, związał się długo, lubił gadać, a nie miał najmniejszego wyobra- żenia o służbie sztabowej. Z tego też to powodu, korpusik nasz wyglądał więcej na kompanję myśliwych z obławami, jak na oddzielny, sobie zostawiony korpus w obec tak bliskiego nieprzy- jaciela.

Zajęliśmy się z Generałem podziałem na części, z których każda pewnego już dowódcę miała. Taki podział w wojsku regularnem jest bardzo łatwy do przeprowadzenia; ale w takiej zbieranej drużynie, trudno uwierzyć, na wiele to napotyka się trudności, ażeby i obowiązkowi na siebie przyjętemu, zawiściom prywatnym, zle zrozumianej miłości własnej, i innym najdziwa- czniejszym wymaganiom, dogodzić; tem bardziej ze słabością charakteru najpocześniejszego generała i przy bucie szlacheckiej, tej niewykurowanej ni- czem chronicznej chorobie; najgorszej, jeżeli je- szcze przybiera na siebie ultra demokratyczne zasady, do których gawieź lgnie zawsze jak na lep.

Po wielu a wielu trudnościach, prośbach, perswazjach, słowach straconych a najczęściej zle zrozumianych, podział ten późno w wieczór się skończył, i obóz tak podzielony stanął. Patrole nie wielkie porosły na wszystkie strony, szczególnie na stronę Wisły, dla zbadania, co nieprzyjaciel robić myśli. Na takie patrole, nie można było z pewnością się spuścić, tylko na Wołyńców Karola Różyckiego.

Nazajutrz nakazał Generał nabożeństwo w obozie, wystawiono ołtarz we środku czworo-

boku, z całego korpusu sformowanego. Jeden z kapelanów, których było jak zazwyczaj w wojsku powstańcem bez liku, celebrował w asy- stencji drugich, a śpiewacy z nowych oddziałów jazdy, śpiewali nabożne i patryjotyczne pieśni.

Nabożeństwo umyślnie nie odprawiało się bardzo rano, żeby dać czas wojsku wystąpić w wyczyszczonych mundurach i z wychędożoną bronią. Po mszy zaraz nastąpił przegląd drobno- stkowy wszystkich oddziałów, — który ledwie się skończył, przemaszerowały do nas dwie kompa- nje Legji Nadwiślańskiej pieszej, świeżo sformo- wane w Stobnicy, bardzo ładnie i elegancko ubrane, jak na parady; wszyscy ich z przyje- mnością oglądali, i to zrobiło dywersję, że się żołnierze przestali dąsać na odbyty nudzący ich przegląd. Nowo przybyłych wcielono do oddziału pułkownika Kwiatkowskiego wraz z legją pie- szą litewsko-ruską i strzelcami Kuszla i Grotusa.

W wieczór po apelu zawezwał Generał do swojej kwatery dowódców wszystkich oddzia- łów. Jak się zeszli, opowiedział im Generał: że bardzo ważnem jest zadaniem dla nas, opanowa- nie mostu między Kazimierzem a Janowcem; a ponieważ, — jak dostał najpewniejsze zawiadomie- nie od obywateli sąsiednich i emisariusza — załoga w szańcu przedmostowym jest bardzo słabą, Mo- skale zaś będąc panami obydwóch brzegów Wi- śły, nie bardzo się pilnują, więc zrobiwszy marsz forsowny, można będzie napaść niespodzianie na most, który od strony Janowca nie był obwaro- wany, przelecieć po nim wprawdzie pod ogniem armatnim na drugą stronę, opanować szturmem szaniec przedmostowy, załogę wybić albo wziąć w niewolę, i w nim się usadowić.

Z wielką radością wysłuchali dowódcy oddziałów tego postanowienia Generała. Przystą- piono zaraz do ułożenia porządku marszowego, obliczono się najskrupulatniej z odległością i go- dzinami do marszu potrzebnymi, tak, żeby kor- pus przed wschodem słońca stanąć mógł na miej- scu przeznaczenia. (C. d. n.)

Termopile.

Po naszej świętej ziemi, niby węże
Pelzają Persy — naszych swobód wrogi;
Beocyjanie i tesalskie męże
Karki przed nimi uginają z trwogi.
Hańba wam, zdracy, stokrotna — wieczysta!
Tak zawołało Spartańczyków trzysta.

Na Termopile idą Grecji dzieci
A na ich czele Leonidas dzielny;
Nad nimi genjusz waleczności leci —
Siejąc skrzydłami ogień nieśmiertelny;
Ogień tak wielki, jak ziemia ojczysta:
Na Termopile poszło Spartan trzysta.

Stanęli w szereg. Tarczę o tarcz zwarli —
Miecz koło miecza błyszczy się stalowy!
Jak nieruchome glazy się oparli
Jeden na drugim: — jak posąg grobowy
Stoją milezący — w głowach myśl ognista
O lubej Grecji: — Oto Spartan trzysta!

Perskie żołdaki nadeciągają chmura.
„Na bok!“ wykrzykną — „na bok zapaleńcy!
„Patrzcie! Mardoniusz tam ciągnie pod górą —
„Patrzcie!“ Was trzysta — nas krocie tysięcy
„Przed nami korzy się Azja kwiecista —
„Ustapcie!“ — Nigdy! — rzeknie Spartan trzysta.
A więc bój zawrzał: iskry sypią miecze —
Persowie idą raprzód — jakby fala,
Co mimo woli ciągle naprzód ciecze;

Lecz wnet się szereg na drugim powala —

Dziesięć tysięcy, jak lawa kłosisista!

Legło — a stoi ciągle Spartan trzysta.

Wtem nagle z piersi mężnych Spartańczyków
Okrzyk się wzbija: „Zdrada! zdrada! zdrada!
Persowie z tyłu!“ — Pośród dźwięków krzyków
Zgraja żołdaków perskich na nich wpada!
Efiatesie! hańba ci wieczysta!
Patrz! Otoczonych twoich braci trzysta.

„Hej! bracia, — jeden ze Spartan zawoła —
„Jeszcze ująć może — tedy — ta drożyna,
„Nim wróg ucieczkę naszą spostrzeże, zdoła —
„Ujdziemy cało — pogonie nas mina!
Spartanin z takiej rady nie korzysta!
Rzekł Leonidas — za nim Spartan trzysta.

Spartanin z pola cofać się nie umie,
Umie zwyciężyć, albo zginąć z chwałą!
Chodź bliżej! — przystap tu żołdacki tłumie
My nie ustąpiam, gdy zginąć przystało!
Persowie plyną, jak lawa ognista —
Spokojnie czeka na nich Spartan trzysta.

Straszną się walka srożyła; tysiące
Persów ze śmiercią spotkało się krwawą!
Ale i Spartan miecze lyskające
Co raz to rzadziej widać za kurzawą.
Skały zaległa cisza uroczyta —
Ha! legli wszyscy — a było ich trzysta!

Persowie przeszli trwożnie nad trupami —
Już walka nie wre, tylko nagie ciała
Leżą skrwawione pomiędzy skałami,
Nad niemi Sława rozjaśniona stała
I ciągle stoi — świetlana — gwiazdzista —
Wołając w kolo: Poległo ich trzysta!

B. Czerwieński.

POGADANKI.

II.

„Difficile est satyram non scribere,“ powie- dzieć to sobie musi każdy, komu w tych czasach przypadło zadanie spisywania takzwanych obja- wów społecznych. Powiadam: tak zwanych, bo epitet „społecznych“ stawia istnienie społeczeństwa, towarzystwa ludzkiego, jako rzecz z góry pewną i niewątpliwą, podczas gdy chwilami zdaje się człowiekowi, jakoby między ludźmi nie istniał żaden związek dobrowolny i naturalny, i jakoby ich nic nie łączyło, oprócz wspólnego obowiązku płacenia podatków i poddawania się pewnym nie- miłym, narzuconym z zewnątrz ograniczeniom — czyli krótko mówiąc, jakoby zamiast społeczeń- stwa, istniało tylko i wyłącznie państwo. Do- smutnych tych refleksyj doprowadziło mnie poró- wnanie tego, co kraj daje pojedynczym indy- widuom, z tem, co indywidua te dają krajowi. Weźmy np. z jednej strony, składki na kupno obrazów Matejki. Jak one płyną stosunkowo po- woli i skapo! Dotychczas, zebrano zaledwie 3000 zlr. Dotychczas, darmo byś szukał w spisach da- wców, najświetniejszych i najdumniejszych nazwisk w kraju. Najmniej zaś znajdziesz tam naszych Krezusów, którym ziemia ojczysta po części już przy ich urodzeniu dała tyle, że mniemają w głębi- serca, iż mogliby wcale obejść się bez niej — wszak jeżeli jej nie porzucają, każą to sobie jako za- sługę wypisywać na nagrobkach. Kilku ludzi za- możniejszych dało po paręset zlr. zresztą płyną skromne datki od takich, którzy sobie prawie od- ust odejmują to, co dają.

Porównajmy teraz z temi ofiarami indywi- duów czynionemi na korzyść kraju, ich zyski

z kraju ciągnięte. Pisma polityczne zdają sprawę z procesu, który toczy się w Wiedniu przeciw byłemu zarządowi jednej z krajowych dróg żelaznych. Zaraz pierwszy punkt oskarżenia rzuca straszliwe światło na bezprzykładną chciwość założycieli, a z ubolewaniem stwierdzić należy, że więcej między nimi nazwisk polskich, niż obcych. Postanowili dać krajowi — kolej żelazną. Ale jeszcze nie tknięto ziemi rydlem, jeszcze nie było i rydlów, kiedy już z pieniędzy przeznaczonych na budowę, 1,900.000 zlr. czyli 7,600.000 złotych polskich powędrowało do kieszeni pp. założycieli. W tym spisie — nie brak już owych świetnych i dumnych nazwisk, nie brak owych Krezusów, których nie znaleźliśmy wymienionych powyżej. Są owszem wypisani szczegółowo, a koło każdego z nich figuruje „porcja,” prawdziwa *pars leonina*, o jakiej się hr. Tarnowskiemu nie śniło, bo wynosząca 100.000 zlr. i to nie w banknotach, ale w dobrych, pełnej wagi funtach angielskich. Tak to sypie pieniędzmi kraj i tak mu odpłacają! Gdyby przynajmniej pośrednio nagromadzone w ten sposób bogactwa przynosiły korzyść ogółowi — i tak np. gdyby jeden lub drugi bogaty arystokrata, oblowiwszy się nad miarę, kupował obrazy przynajmniej sam dla siebie! Tymczasem, o zakład iść można, że z pomiędzy obdzielonych „lwiemi porcjami” przy założycielstwach, ani jeden w życiu swoim nie kupił obrazu z powodu jego wartości artystycznej, a niejeden nie kupił dotychczas nawet żadnej książki. Bo i któżby kupował papiery, pozbawione gwarancji państwowej i nie zapewniające tantiemy?

* * *

Gdzieżbyśmy zresztą umieszczali obrazy i książki, gdybyśmy je kupowali? Zaledwie mamy gdzie mieszkać, a najnowsze postępy sztuki budowniczej nad Peltwią sprawiają, że nowo wybudowane gmachy nie tylko rozpadają się same, ale nadto, obalają jeszcze stare domy sąsiednie. Wypadek taki zdarzył się świeżo, naprzeciw Zakładu Ossolińskich. Ponieważ obrazy Matejki mają być umieszczone w gmachu sejmowym, i ponieważ *vox populi* z góry zapowiada, iż budowa tego gmachu powierzona będzie temu samemu budowniczemu, którego dzieła rozpadają się przy ulicy Ossolińskich i w Kulparkowie, więc byłoby wandalizmem sprowadzać tu „Unię” lub „Batorego.” Zresztą, gmach ten „sejmowy” równie jak „pałac sprawiedliwości” są dotychczas *des châteaux en Espagne* — Bóg wie, kiedy się rozpocznie ich budowa. Natomiast zapowiada nam gazeta urzędowa, i obdarza nas na gwiazdkę tą wiadomością, że niebawem wzniesiony będzie nowy gmach na pomieszczenie namiestnika, namiestnictwa i urzędów „pomocniczych” tej władzy. Potrzeba tego budynku tak mocno czuć się daje, że w istocie nie pojmuję, jak mogliśmy dotychczas wytrzymać bez niego. Jesteśmy jako barszcz z jednym tylko grzybem, jako wóz, u którego brakuje piątego koła. Samo c. k. namiestnictwo zapełnia wprawdzie tę lukę, ale tylko moralnie — potrzeba koniecznie zapełnić ją i dla oka, monumentem tak precyzyjnej architektury, jak np. c. k. budynek dykasterjalny przy ulicy Hetmańskiej. Dwupiętrowy ten ósmy cud świata ma 100 sążni wiedeńskich czyli 250 kroków długości, i przedstawia jedną gładką, białą ścianę przedziurawioną 148 oknami i nakrytą niemniej podziurawionym dachem. W całym świecie nie ma nic podobnego: dosyć jest

siąść naprzeciwko, na wałach, i wpatrzeć się w ten szereg okien, nie myśląc nawet o tem, że mieści się w nich dyrekcja skarbu, urząd wymiaru należytości, urząd podatkowy itp. aby dostać czarnej melancholji. Wiadomo, jak rzadkiemi są samobójstwa u żydów. Otóż temi dniami, jakiś nieszczęśliwy izraelita, wpatrzywszy się przez pół godziny w kunsztowny styl c. k. gmachu, obwiesił się natychmiast na drzewie przy wałach, i to pomimo zabiegów pewnego filantropa, który mu ofiarował guldena pod warunkiem, aby odstąpił od tego zamiaru. Lwów będzie precyzyjnym miastem, jeżeli jeszcze drugi budynek tego rodzaju ozdobi jego ulice, zwłaszcza że i dzisiejszemu przybytkowi najwyższej politycznej władzy nie można zarzucić żadnej zbytecznej ornamentyki, żadnego zerwania z tradycją nagiej, gładkiej zupełnie i białej płaszczyzny. Styl ten jest niejako odbiciem młodzieńczości państwa — przedstawia on niejako *tabulam rasam*, na której, gdyby się znalazł ktoś mądry i umiętny, mógłby zrobić coś mądrego i pięknego. *Le style — c'est l'homme*, powiadają.

* * *

Dyrekcja teatru uwzględniła krótkość tego-rocznych zapust, i wbrew obyczajowi, od Nowego Roku do Trzech króli urządziła owe trzy pierwsze reduty, które się nigdy nie udają. Nie udały się i teraz; natomiast zapowiadają, że czwarta wypadnie bardzo świetnie. Mówią, że „wielki świat” z powodu trwającego jeszcze ciągle „krachu” nie myśli tego roku dawać balów u siebie, ale zamierza bawić się publicznie razem z małym światem, do czego reduty najlepszej dostarczają sposobności, zwłaszcza że od czasu procesu Offenheima nie każdy może pokazywać się ludziom bez przebrania się i maski. Będziemy słyszeli liche kalambury tego rodzaju:

— Ou donc est votre mari?

— Il garde la maison.

— Ah, je croyais que c'est *la maison* (Lamézan) qui le garde.

Ponieważ prokurator wiedeński nazywa się hr. Lamézan, więc znaczenie tej „więcej złośliwej niż dowcipnej” uwagi jest tak jasne, że zrozumiałby ją może nawet i ten pan, który krytykował niedawno Renana w pewnej gazecie tutejszej i zdradził się przy tej sposobności, że nie rozumie tego, co czyta.

Literat ten, za dawnych, dobrych czasów, był odpowiedzialnym redaktorem pewnego opozycyjnego pisma, i nie miał żadnej innej czynności, oprócz tej, że odsiadywał w kozie wszystkie wyroki, które spadały na redakcję. Pewnego razu wniósł do sądu wyższego rekurs przeciw jednemu z tych wyroków, i motywował go, jak następuje:

„Ein hohes Oberlandesgericht wolle erwägen, dass der unterthänigst Gefertigte so beschränkt ist, dass er nicht einmal die handgreiflichsten Sachen, geschweige denn einen hochpolnisch geschriebenen Leitartikel zu verstehen im Stande zu sein gedacht werden zu können verdient!”

Jakże mógł rozumieć Renana, który pisze „hochfranzösisch?”

Jan Lam.

FAUST.

Nowella rosyjska w dziewięciu listach

JWANA JURGENIEWA

przełożył J. Pl.....

„Entbehren sollst du, sollst entbehren.“
Fausta część I.

(Ciąg dalszy).

LIST IV.

(Paweł Aleksandrowicz B. do Szymona Mikołajewicza W.)

Wies M.... 20. czerwca 1850.

Kochany przyjacielu. Odbyl się wczoraj odczyt Fausta, a jak się odbył, opowiem ci dokładnie. Przedewszystkiem muszę cię uprzedzić, że sukces przeszedł moje oczekiwanie. Sukces, to mało powiedzieć: posłuchaj tylko.

Przybyłem do Prijimkowów w porę objadawą; siedziało nas przy stole sześcioro: ona, Prijimkowa, córeczka, guwernantka (o bladej fizjognomji) ja i stary Niemiec w krótkim, cynamonowym fraku, gładko ogolony, ze skromną, poczciwą facją, prostodusznym uśmiechem i szczerbatą gębą. Poczciwiec roztaczał koło siebie silną woń kawy cykorjowej — to woń uprzywilejowana wszystkich starych szwabów. Gdy mi go przedstawiono, dowiedziałem się, że się zowie Schimmel i jest nauczycielem języka niemieckiego u księcia X, którego dom oddalony był od Prijimkowów o kilka wiorst. Wiera Mikołajewna, która zdaje się go lubić, zaprosiła go była na odczyt Fausta. Pożno zasiedliśmy do stołu i nie prędko wstaliśmy od niego. Ranek był dżdżysty i wietrzny nieco, ale pod wieczór wypogodziło się niebo, więc wszyscy razem wyruszyliśmy w pole. Nad głowami naszymi zawisła szeroko i jasno różowa chmurka, otoczona szaremi pręgami, a z pod jej rąbka od czasu do czasu, to znów znikając, błyskała gwiazdka. W pewnym oddaleniu biały sierp księżyca odbijał silnie od lekko zarumienionego błękitu. Zwróciłem uwagę Wierze Mikołajewny na ten czarownic widok.

— W istocie, rzekła, to bardzo ładne; ale spoglądnij pan tam.

Oglądałem się za siebie i ujrzałem olbrzymią, czarną chmurę, która zasłaniała zachodzące słońce. Wyglądała jak góra ogniem ziejąca, której wierzchołek wieńczyły szerokie snopy płomienne a dokoła otaczał ją rąbek złowrogiej purpury, przedzielającej właśnie w samym środku całą tę ciemną, ponurą masę, jak gdyby wyrzuciła ją płomienna paszcza tego potwora.

— Będzie burza, rzekł Prijimkow.

Ale odchodzę od głównej rzeczy. Zapomniałem donieść ci w ostatnim liście, że później żałowałem tego, że wybrałem „Fausta” na pierwszy odczyt. Jeśli już zacząć od literatury niemieckiej, to lepiej na początek nadaje się Szyller. Najbardziej niespokojny byłem o pierwsze sceny, aż do znajomości z Małgosią, a i Mefista niebardzo był pewny. Lecz sam byłem pod wrażeniem „Fausta” i żaden inny utwór nie byłby mi przypadł do serca. Gdy się zupełnie ściemniło, zgromadziliśmy się wszyscy w chińskim pawiloniku, który dniem przedtem na ten cel urządzono. Naprzeciwko drzwi stał okrągły stolik a przy nim mała kozetka; wkoło fotele i krzesła; na stoliku paliła się lampa. Usiadłem na kozetce i wziąłem książkę do rąk. Wiera Mikołajewna zajęła miejsce blisko drzwi. Przy świetle lampy można było rozpoznać u wchodu pawilonu lekko kołyszące się gałązki akacji, a od czasu do czasu zalatywał przez otwarte drzwi świeży powiew wie-

czornego wiatru. Prijimkow usiadł, tuż obok mnie przy stoliku, a obok niego stary Niemiec. Guwernantka z Natasią zostały w domu. Zaczęłam od kilku objaśniających uwag o legendzie Fausta, o Mefistofelesie i o samym Goethem i prosiłam, ażeby mi przerwano, gdyby jaki ustęp w poemacie był komu niejasnym... potem poskrobałam się w głowę. Prijimków zapytał mnie, czy nie potrzebuję wody z cukrem i widocznie był mocno zadowolony ze swej propozycji. Podziękowałam mu i nastąpiła głęboka cisza... zacząłem czytać. Zrazu nie śmiałem podnieść oczu i opanowała mnie dziwna trwoga, serce mi biło a głos mój drżał. Pierwszy wykrzyknik pochwalny wyrwał się z ust Niemca i on jeden przerywał ciszę, jaka trwała podczas całego odczytu.— Cudownie! wzniosłe! — powtarzał od czasu do czasu a czasem dodawał: jakie to głębokie! Prijimkow zdawał się nudzić; język niemiecki zna on tylko powierzchownie i sam powiada że sobie z wierszów nic nie robi. Któż bo mu kazał słuchać? Już podczas objadu chciałem mu dać do poznania, że nie potrzebuje być koniecznie obecnym przy czytaniu, lecz obawiałem go się tem urazić. Wiera Mikołajewna siedziała nieporuszona. Kilkakrotnie spojrziałem na nią ukradkiem: jej oczy były wlepione we mnie z wyteżoną uwagą i była blada. Po pierwszej scenie Fausta z Małgosią, pochylała się naprzód, spłótła dłonie na piersiach i w tej postawie przetrwała aż do końca odczytu. Zrazu drażniła mnie obojętność Prijimkowa, lecz wkrótce zapomniałem o nim zupełnie, opanowało mnie uczucie poważne, czytałem z zapalem, w natchnieniu... i czytałem tylko dla Wiery Mikołajewny. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że „Faust“ głębokie na niej sprawiał wrażenie. Pomiąłem Intermezzo, które z natury swej bardziej do 2. części należy; toż samo Noc świętojańską i niektóre ustępy z kuchni czarownic. Kiedym zakończył, gdy przebrzmiał ostatni wyraz: „Henryku!“ — Niemiec wzruszony zawołał: Boże, jakież to cudowne! Prijimkow zerwał się z krzesła (biedaczysko!) i z głębokim westchnieniem podziękował mi za tę przyjemność, jaką mu sprawiłem. Nie odpowiedziałem ani słowa i patrzałem tylko na Wierę Mikołajewną, ciekaw, co ona powie. Ona wstała milcząca, chwiejnym krokiem postąpiła ku drzwiom, przez chwilę zatrzymała się na progu a potem wolnym krokiem podażyła do ogrodu. Poszedłem za nią; szła przedemną na kilka kroków a ja zaledwie zdołałem rozpoznać w ciemności jej białą suknię.

— Jakże więc? zawołałem; podobało się pani?

— Czy możesz mi pan tę książkę pożyczyć? zapytała.

— Daruję ją wam, Wiero Mikołajewno, gdy ją mieć chcecie.

— Dziękuję! odpowiedziała mi na to i znikła. W tej chwili przybliżyli się Prijimkow z Niemcem.

— Dziwnie dziś ciepło, a nawet parno, zagadnął Prijimkow. Ale gdzie jest moja żona?

— Zdaje mi się że wróciła do domu, odparłem.

— Sądzę, że czas by już był udać się na wieczerzę, rzekł Prijimkow, a po chwili dodał: Wy czytacie wybornie!

— Zdaje mi się, rzekłem, że „Faust“ podobał się Wierze Mikołajewnie.

— O, niezawodnie! zawołał Prijimkow.

— Z pewnością! dodał Schimmel.

Tymczasem weszliśmy do domu.

— Gdzie jest pani? zapytał Prijimkow pokojówkę, którąśmy spotkali.

— Pani poszła do swej sypialni.

Prijimkow udał się do sypialni żony. Ja z Schimmlem zostaliśmy na terasie; stary podniósł oczy ku niebu.

— Jakaż to moc gwiazd! szepnął do siebie i zażył tabaki. A wszystkie te gwiazdy, to światy, dodał po chwili, zażywszy powtórnie tabaki.

Nie uważałem za potrzebne odpowiadać mu i w milczeniu patrzałem na niebo... jakieś zwątpienie tajemne owładnęło mą duszę; zdawało mi się, że gwiazdy patrzą na nas okiem surowem. Po chwili wrócił Prijimkow i poprosił nas do jadalnego pokoju; wkrótce przyszła także Wiera Mikołajewna i usiedliśmy do stołu.

— Przypatrzcie no się mojej żonie, rzekł do mnie Prijimkow.

Spojrzałem na nią.

— Cóż, nie dostrzegacie niczego?

Spostrzegłem wprawdzie pewną zmianę w jej twarzy, ale — nie wiem dlaczego — odpowiedziałem:

— Nie, ja nic nie widzę.

— Czy nie ma oczu czerwonych? zapytał mnie dalej Prijimkow.

Milczałem.

— Wystawcie sobie tylko, wszedłszy do jej pokoju, znalazłem ją łzami zalaną. Już jej się to dawno nie trafiło. Wiecie, kiedy ostatni raz płakała? Kiedyśmy stracili naszego Saszę. A wszystkiego tego narobił wasz „Faust“, dodał z uśmiechem.

— Widzicie więc Wierę Mikołajewno, zagadnąłem ją, żem miał słusność.

— Nie spodziewałam się tego, odparła na to. Ale Bóg raczy wiedzieć, czyście dobrze postąpili. Może dlatego właśnie nie pozwalała mi matka czytać podobnych książek, bo wiedziała...

Tu Wiera zamilkła.

— Co wiedziała? zapytałem. Dokończ pani.

— Pocz? i tak się już wstydę... jak mogłam płakać! Ale dobrze, pogadamy jeszcze o tem; niektórych rzeczy nie rozumiałam dokładnie.

— Czemużes mnie pani zaraz nie pytała?

— Rozumiałam słowa; i myśl ich... ale...

Umilkła znowu i zamyśliła się. W tej chwili zaświszczał wiatr między drzewami w ogrodzie. Wiera Mikołajewna wzdrygnęła się przełknięta i zwróciła się ku oknu.

— Powiedziałem, że będzie burza! zawołał Prijimkow. Ale czegoś ty się tak wzdrygnęła. Wierszka?

Spojrzała na niego w milczeniu, a po jej twarzy nieruchomej przeleciał tajemniczy blask dalekiej błyskawicy.

— Wszystkiego tego narobił „Faust“, rzekł Prijimkow. Po wieczerzy najlepiej będzie, gdy zaraz pójdziemy spać... Prawda, panie Schimmel?

— Po użyciu duchowej rokoszy zarówno pożyteczne jak przyjemne jest pokrępienie cielesne, odparł pocziwy Niemiec i wychylił kieliszek likieru.

Zaraz po wieczerzy rozeszliśmy się. Na „dobra noc“ uściskałem rękę Wiery Mikołajewny — ręka była zimna. Udałem się do mojego pokoju i długi czas stałem przy oknie, zanim się położyłem na spoczynek. Przepowiednia Prijimkowa spełniła się — zbliżyła się burza i wkrótce wybuchła. Słyszałem świst wichru, szum deszczu spływającego po liściach drzew, a za każdym mignieniem błyskawicy widziałem położoną nad

stawem cerkiewkę wiejską, raz czarną na tle jasnym, to znów jasną na ciemnym tle a potem znów znikającą w ciemności. Ale myśli moje były daleko od tego wszystkiego... myślałem o Wierze Mikołajewnie; myślałem o tem, co też powie, gdy sama przeczyta „Fausta“, myślałem o łzach jej i wyteżonej uwadze, z jaką mi się przysłuchiwała.

Dawno już minęła była burza; znowu zajaśniały gwiazdy i była cisza wszędzie. Tylko jakiś nieznan mi ptak na rozmaite tony powtarzał wciąż jedną i tę samą melodię. Samotna piosenka jego dziwnie brzmiała wśród ciszy nocnej. A ja wciąż jeszcze marzyłem. Nazajutrz wcześniej niż drudzy byłem w salonie i stanąłem przed obrazem pani Elzow. Przecież więc, rzekłem sam do siebie z tajemnym tryumfem, przeczytałem twej córce jedną z tych książek, któreś jej zakazywała. Nagle wydało mi się — zauważyłeś zapewne, że obrazy malowane *en face* spoglądają zawsze wprost na tego, które im się przypatruje — nagle więc wydało mi się, że stara Elzow wlepiła we mnie wzrok pełny wyrzutu... Odwróciłem się, przystąpiłem do okna i spostrzegłem Wierę Mikołajewną.

W rękę miała parasolkę, na głowie białą chusteczkę i przechadzała się sama po ogrodzie. Pospieszyłem do niej i przywitaliśmy się.

— Całą noc nie mogłam zasnąć, rzekła; głowa mnie boli, chciałam odetchnąć świeżem powietrzem... może to pomoże.

— Czyżby może wczorajsza lektura miała być powodem cierpienia pani? zapytałem.

— Prawdopodobnie, nie jestem przyzwyczajona do takich rzeczy... w książce pańskiej są rzeczy, które mi z głowy wyjść nie mogą. Zdaje mi się, że to one tak mi głowę rozpalają, dodała przykładając rękę do czoła.

— Wyśmienicie! zawołałem, obawiam się tylko, ażeby bezsenne noce i ból głowy nie odebrały nam chęci do dalszego czytania książek podobnych.

— Tak sądzicie? odparła Wiera, zrywając po drodze gałązkę jaśminu. Na Boga, mnie się wydaje, że niepodobna już cofnąć się temu, kto raz stanął na tej drodze.

Mówiąc to odrzuciła dopiero co urwany kwiat.

— Usiądźmy w tej altanie, dodała; a proszę was, zanim sama o tem mówić nie zacznę, nic mi już więcej nie wspominajcie o tej... książce. Zdawała się lękać wymówić to słowo „Faust“

Weszliśmy do altany i usiedliśmy.

— Dobrze, odpowiedziałem, nie będę już więcej rozmawiał z wami o Fauscie: ale pozwólcie mi powinszować sobie i powiedzieć, że wam zazdroścę.

— Zazdrościcie mi?

— Tak jest, ponieważ, znając teraz wasz umysł, wiem, jakie was jeszcze czekają rokosze. Są jeszcze inni wielcy poeci oprócz Goetho. Szekspir, Szyller... prawda, a nasz Puszkini... i jego musicie poznać.

Ona milczała, kreśląc po piasku parasolką.

Kochany Szymonie Mikołajewicz, gdybyś ją był widział w tej chwili, jak cudnie wyglądała! Twarzyczka prawie przeźroczysto blada, cała z lekka naprzód pochylona, nieco znużona, z głębokim w duszy wzruszeniem a jednak tak czysta i jasna, jak niebo. Mówiłem jeszcze przez chwilę, potem umilkłem także, siedziałem i patrzałem na nią. Ona nie odrywała wzroku od ziemi, kreśliła na piasku jakieś znaki i zama-

zywała potem takowe. W tem usłyszeliśmy spieszne kroki dziecka i wbiegła Natasia. Wiera Mikołajewna powstała szybko i zdumiała mnie żywą tklivością, z jaką uściskała córeczkę; nie jest to właściwy jej zwyczaj! Przybył także Prijmkow; Schimmel, to sumienne dziecko o białych włosach, odjechał był już do dnia, ażeby nie opuścić godziny lekcji. Udaliśmy się wszyscy na herbatę.

Jestem znużony i czas już list niniejszy zakończyć. Musi ci się wydawać bezładnym i chaotycznym — nie dziw, ja sam sobie wydaję się takim. Dziwnie mi jakoś... sam nie wiem, co mi jest. Nieustannie stoi mi przed oczyma pawilon z nagimi ścianami, paląca się lampa, drzwi otwarte, przez które wiatr nocny zalatuje, a przy drzwiach twarzyczka młoda, pilnie zasluchana, i lekka, biała sukienka... Wiem teraz, dlaczego się chciałem z nią żenić. Nie byłem tak głupi wtedy, przed moim odjazdem do Berlina, jak mi się dotychczas zdawało. Tak, Szymonie Mikołajewiczu, dziwy się dzieją z twoim przyjacielem! Ale to minie... a gdyby nie minęło, to i tak dobrze. I na to narzekać nie będę! Wszak przeżyłem jeden wieczór cudowny, a jeśli ta dusza się przebudziła... jeśli ja ją przebudziłem, to i któż mi to może wziąć za złe? Stara Elzow wisi na ścianie i nie przemówi ztamtąd. Dziwna stara! Nie znane mi są wszystkie koleje jej życia, ale wiem, że uciekła z rodzicielskiego domu. Nie darmo miała Włoszkę za matkę. Chciała swą córkę zaasekurować... ha, zobaczymy...

Składam już pióro. Myśl o mnie, co ci się podoba, nielitościwy szyderco, ale w listach twoich daj pokój szyderstwom. Starzy, jak my, przyjaciele, powinni nawzajem być dla siebie wyrozumiałymi. Bywaj zdrów!

Twój P. B.

(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Przemysłiwając od powrotu z pierwszej wyprawy swojej na statku Isbiörn nad uzyskaniem środków do nowej, na większe rozmiary zorganizowanej ekspedycji arktycznej, znaleźli Payer i Weyprecht gorliwego i możnego zwolennika swych planów w obywatelu morawskim, Janie hr. Wilczku, który jako jeden z założycieli wiedeńskiego towarzystwa antropologicznego znany był towarzystwom naukowym z gotowości wspierania wszelkich przedsięwzięć scyentyficznych. Zajawszy się z właściwą sobie energią projektem nowej wyprawy austriackiej na ocean arktyczny, pozyskał on dla niej hr. Zichy, również wpływowego, jak szczodrego magnata węgierskiego, i robiąc sam pierwszy początek, ofiarował na jej wyekwipowanie 30.000 złr. W połączeniu z wiedeńskim towarzystwem geograficznym, które wspierało od początku zamiary Payera i Weyprechta, zawiazali Wilczek i Zichy w lutym r. 1872 stowarzyszenie w celu popierania austriackiej ekspedycji arktycznej i obrali sekretarzem tego stowarzyszenia radcę dworu dr. Beckera, jeneralnego sekretarza wiedeńskiego towarzystwa geograficznego. Po przyjęciu statutów przystąpiono do wyboru komitetu i obrano prezydentem br. Wüllerstorf-Urbair,

byłego komendanta ekspedycji Nowary a później ministra handlu, zastępcami jego zaś ówczesnego ministra wojny, br. Kuhn, i hr. Zichy, podczas kiedy w skład komitetu weszły najpierwsze w Austrii imiona, a protektorat stowarzyszenia przyjął sam arcyksiążę Rainer.

Zadaniem komitetu było nietylko zbieranie pieniędzy, lecz także przysposobienie wszelkich narzędzi i przyrządów do wyprawy potrzebnych. Jakoż w nadspodziewanie krótkim czasie pokryta została suma 200.000 złr. na jaką kosztą wyprawy obliczono, a pokryły ją prawie wyłącznie składki zebrane w monarchji austriacko-węgierskiej, tak, że wyprawa z całą słasnością austriacko-węgierską nazwana być mogła. Również i wszystkie narzędzia, przyrządy i instrumenta były wyrobem, a w części darem przemysłu krajowego. Wykonano wszystko z największą troskliwością, ażeby podróżnicy mogli przedsiębrać wszelkiego rodzaju badania naukowe i żeby byli w stanie przetrwać miesiące całe w największym zimnie i w najgwałtowniejszych burzach polarnych daleko od statku, ograniczeni jedynie na te rzeczy, które mogli zawsze mieć ze sobą. Zwrócono szczególną uwagę na dobrą konstrukcję sań. Aby im nadać jak największą lekkość, nie zmniejszając przy tem ich mocy, robiono je z drzewa osikowego, lub wiązowego, nie spajając pojedynczych części dla tem większej elastyczności żelazem, lecz drewnianymi kołkami i rzemieniami. Mniejsze obliczone były na 8, większe 20 centnarów ładunku; pierwsze mogło przy pomocy psów ciągnąć czterech, drugie ośmiu ludzi. Nadto były one w ten sposób urządzone, żeby je można w razie potrzeby przenieść na koła i przemienić na wozy. Niemniej praktycznie sporządzono namioty, skrzynie i torby na przechowywanie żywności, futrzane wory do spania, a garderoba zaopatrzona została obficie w ciepłą odzież, chroniącą zarówno od zimna jak i od wilgoci, przy czem wszystkim korzystano nietylko z doświadczeń drugiej niemieckiej i pierwszej austriackiej wyprawy, lecz zasięmano nadto rady sławnego podróżnika angielskiego, admirała Mac Clintocka. Tylko konserwowane zapasy żywności zostały zamówione w części w Getyndze, w części w Hamburgu, a parowiec śrubowy, ochrzczony Tegethoff, za który — powiedzmy nawiasem — fabrykant niemiecki, korzystając ze sposobności, wygórowaną sumę zapłacił sobie kazał, zbudowany został podług osobnego planu i wyłącznie na cele ekspedycji w Bremerhaven.

Cała ekspedycja składała się z 24 ludzi. Oprócz Weyprechta i Payera należeli do niej dwaj porucznicy marynarki, Orel i Brosch, lekarz i zoolog dr. Kepes, dwaj Tyrolczycy, Haller i Klotz, wyćwiczeni w spinaniu się po lodowcach, maszynista Kriech, jedenastu majtków dalmatyńskich i kilku ludzi do służby okrętowej. W Tromsø przybył jeszcze jeden towarzysz, kap. Carlsen, znany z licznych podróży swoich po oceanie arktycznym i słynny z biegłości w sztuce żeglowania pomiędzy lodami. Norwegi ten marynarz był jedynym w wyprawie austriacko-węgierskiej cudzoziemcem; wszyscy inni jej uczestnicy, wyjąwszy kilku Niemców austriackich, byli w części Węgrzy, w większej części Słowianie.

Plan wyprawy określała dokładnie udzielona za radą Petermanna obu jej kierownikom instrukcja. Głównym jej celem było zbadanie nieznanych dotąd obszarów na północy Syberji. „Jeżeliby stan lodów był pomyślny — opiewała instru-

kcja — to należy się starać o dotarcie do drogi Beringa i tą drogą powrócić. W tym razie tylko, gdyby okoliczności nadzwyczajnie sprzyjały, można się pokuszać o osiągnięcie wyższych szerokości geograficznych. Wprost ku biegunowi ma być wyprawa tylko w takim razie skierowaną, gdyby się okazało, że w oznaczonym przeciągu czasu, tj. w dwóch zimach i w trzech latach, do drogi Beringa dostać się nie będzie można. Za punkt wyjścia ekspedycji należy uważać północne wybrzeże Nowej ziemi. Rozumie się samo przez się, że należy ile możności unikać pobliza znanych wybrzeży Syberji.“ Plan ten objaśnił Weyprecht szerzej w wykładzie, który miał przed odjazdem w frakfurckim towarzystwie geograficznym. „Karta świata arktycznego — mówił on — okazuje jego ściśle ze wszech stron ograniczenie. Tylko trzy drogi łączą ocean arktyczny z Atlantyckim i Spokojnym. Z tych droga Beringa jest za wąską i za płytką, żeby mogła być uważaną za właściwe połączenie z Wielkim oceanem. Główne połączenie stanowi morze pomiędzy Grenlandją i Norwegją. Wzdłuż wschodnich wybrzeży Grenlandji płynie zimny prąd ku południowi. Pod 75° płn. szer. jest ten prąd około 40 mil niemieckich szeroki i robiąc około 10 mil morskich dziennie, znosi rocznie w okrągłej liczbie 200.000 mil kwadr. lodu. Masę wód odpływających z prądem polarnym, zwraca oceanowi płynący od równika prąd golfowy, który prowadzi daleko na północ ciepłe wody. Przy Niedźwiedziej wyspie dzieli się ten prąd poraz ostatni. Północne jego ramię sprowadza tajanie lodów na wschodnich wybrzeżach Spitzbergen aż po 80° płn. szer. Drugie zwraca się ku północnemu wschodowi. Koniecznym wynikiem tego faktu jest, że w tej części strefy arktycznej muszą być lody w późnej jesieni o tyle splekane i zniesione, iż najwyżej ku północy statkiem się przebić można. Najbliższem zadaniem naszej wyprawy byłaby więc podróż wprost ku biegunowi. Wiele powodów przemawia jednakże przeciwko temu. Przedewszystkiem podróż taka wymaga koniecznie dwóch okrętów, a więc i dwa razy większych środków, niż te, które my mamy. Powtóre dotarcie do bieguna nie jest tak ważnem pod względem naukowym. Dlatego wytknęliśmy sobie za cel podróż w kierunku północno-wschodnim, opłynienie północnych wybrzeży Syberji, a w szczęśliwym razie dostanie się aż do drogi Beringa. Wielkie rzeki sybirskie oczyszczają bowiem z lodów morze na północy Syberji. Ob i Jenisej wylewają w nie pomiędzy Nową ziemią a przyładkiem Czeljuskin ogromne masy ocieplonej wody, która opływa wybrzeża; na wschód od pomienionego przyładka sprowadzają Lena, Indygirka i Kotyma również znacznie ocieploną wodę do tego morza i przy niewielkiej jego głębokości wywierają nań takisam wpływ, jak tamte zachodnie rzeki. Droga, którą wyprawa nasza równoległe do wybrzeży Syberji sobie wytknęła, przetnie więc linię łączącą oba bieguny zimna. Dotknie ona wielu szczególnych punktów albo odkrytych już, albo prawdopodobnie znajdujących się tam lądów, i obiecuje opłacić się bogatym plonem ważnych spostrzeżeń na polu zoologii, geologii i klimatologii. Mamy więc przed sobą obszar nietylko najmniej znany, lecz pod względem naukowym niezawodnie najciekawszy. Znając zmienność stosunków klimatycznych arktycznej strefy — kończył Weyprecht swój wykład — i wiedząc że każdy podróżnik w tamtych stronach jest niewolnikiem nieprzewidzianych

a wszechwładnych przypadków, nie możemy przyrzekać pomyślnego rezultatu; to jedno jednakże przyrzekamy, że wszyscy uczestnicy wyprawy starać się będą ze wszystkich sił swoich, aby zamierzony cel szczęśliwie osiągnąć.

Pod takimi auspicjami, odpłynął Tegetthoff, wyekwipowany na lat trzy, dnia 14 lipca 1872 r. z portu Tromsø na pełne morze, zmierzając najprostszą drogą do wysp Barenta*).

* * *

Kilka tygodni wcześniej, d. 19 czerwca, wyruszył z tego samego portu na żaglowym jachcie Isbiörn, na którym Weyprecht i Payer w roku przeszłym pierwszą swoją odbyli podróż, hr. Wilczek w zamiarze deponowania ilesi w jak najdalszej wschodniej części oceanu arktycznego zapasów węgla i żywności dla Tegetthoffa. Z wyprawą tą połączył jednak hr. Wilczek także badania naukowe i w tym celu przybrał sobie na towarzyszy kontradmirała hr. Daublebskiego von Sterneck, geologa Jana Höfera i fotografa Wilhelma Burgera. Znajdowali się jeszcze na pokładzie statku, oprócz kap. Kjöl-sen i służby okrętowej, strzelec hrabiowski i Tyrolczyk Pailerl, doświadczony przewodnik na Grossglocknera. Małe to towarzystwo miało najprzód wylądować w Hornsundzie na wyspie Spitzbergen, wyjść na szczyt Hornsund-Tind, przepędzić w okolicy jakiś czas na robieniu spostrzeżeń meteorologicznych i geologicznych, przeplatanych łowieckimi wycieczkami, następnie udać się do Nowej ziemi, aby tam około przylądka Nasauskiego deponować swoje zapasy, a w końcu zawinąć do ujścia Peczory i przez Rosję powrócić do domu, odesławszy nagromadzone w podróży zbiory okrętem do Tromsø.

D. 25 sierpnia stanął Isaiörn u południowego przylądka Spitzbergen, gdzie spostrzeżono pierwsze smugi lodu, rozpościerające się wzdłuż wybrzeży ku wschodowi i południowemu wschodowi. Z powodu przeciwnych wiatrów zawinięto jednak dopiero w dziesięć dni później do Hornsundu i zarzucono kotwicę w przystani, którą nazwano Isbiörn. W czasie pięciodniowego pobytu w tej rozległej zatoce zdjęto dokładną jej mapę, przedsiębrano wycieczki w przyległe okolice, które wzbogaciły geologiczny i botaniczny zbiór Höfera kilku rzadkimi okazami, ale od zamiaru wejścia na Hornsund-Tind musiano odstąpić, przekonawszy się, że przyrzady do wspinańia się na lodowce, w jakie się zaopatrzone były dostateczne do robienia podróży po lodowcach alpejskich, ale nie po lodowcach polarnych. Polowanie nie wielką też przyniosło zdobycz, gdyż okolica ta, rzadko bardzo przez żeglarzy odwiedzana, była bardzo ubogą w zwierza i tylko stada ptactwa morskiego, krążyły ponad pustymi jej wybrzeżami. Szczególnie jedną górę, którą górą ptasią nazwano, okrywały tysiące gniazd, a siedzące właśnie podówczas na jajach ptaki, nigdy nie płoszone, nie lękały się wcale ludzi i dawały się chwycić rękami. Ze wszystkich stron zatoki zsuwały się olbrzymie lodowce aż do wybrzeży morza, wypełniając wąwozy i doliny pomiędzy skalistymi ścianami gór. Od czasu do czasu odrywały się od tych strumieni lodowych olbrzymie jak góry bryły, staczały się z hukem podobnym do grzmotu w wodę i dłu-

giemi rzedami wysuwały się powoli z zatoki na otwarte morze. Posród tych zawałów lodów, zienialały się jednak gdzieś po słonecznych stokach plisze ziemi zarumione mchem i nikłą trawą, niby drobniutkie oazy pośród pustyni.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Ciąg dalszy).

(Promenade autour du Monde par le Baron de Hübnér; 3 édition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnéra.)

Z kolei rzeczy zaproszono mnie na obiad do nowego ministra, p. Iwakury. Przybywszy do jego pałacu w Soto-Jiro o siódmej godzinie wieczorem, wszedłem głównymi drzwiami, a minawszy w korytarzu kilkunastu posługaczy siedzących w kuczki, zostałem wprowadzony przez dworzana stanu szlacheckiego, przy podwójnych szpadach, do apartamentów ministra. Przechodząc liczne komnaty, nie dostrzegłem nigdzie mebli, oprócz okrągłego stolika i czterech krzeseł w sali jadalnej, gdzie zatrzymaliśmy się. Wkrótce podano obiad urządzony na sposób europejski. Uderzyła mnie tam zręczność służących zmieniających talerze bez najmniejszego stuknięcia. Pogadanki przy stole przedłużyły się aż do północy, słowem, że pięć godzin upłynęło nam niepostrzeżenie. Iwakura był wielomownym, wyrażał się z łatwością krótko i jasno. Rzekł on między innymi:

— Moją myślą przewodnią jest, utrzymanie przyjaznych stosunków z zagranicą i przeprowadzenie znacznych reform na wewnątrz. Zaprzeczam temu, jakoby Japonia była zawsze zamkniętą dla cudzoziemców. Dwie przyczyny spowodowały dobrowolne odosobnienie się kraju: najprzód przywłaszczenie władzy przez naczelną feudalistów (shoguns), obawiających się zaćmić swą potęgę przez zetknięcie się z obczyzną; powtóre rokosz chrześcijan. Od czasu atoli restauracji i przywrócenia tronu Mikada nie lęka się on obcokrajowców ani ich ciekawości, bo wie, że prawa jego są niezachwiane. Nikt nie ośmieliłby się już o nich powątpiewać. Pomyślny obrót rewolucji 1868 r. i gotowość dwóch przeważnych klanów, mianowicie: klanu Satsuma i Chiosiu do poświęcenia swoich przywilejów, dają się wytłumaczyć powszechną czecią, jakiej Mikado używa w narodzie. Cześć ta leży w sercach wszystkich, tak dalece, że nawet uzurpacja panowania przez shogunów, trwającego tyle wieków, nie zdołała jej zatrzeć.

Zwrócono rozmowę na podróże Japończyków po Europie i Ameryce. Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę ministra, iż byłoby może stosowniej, aby wysyłał za granicę ludzi raczej dojrzalszych z kompletnym wykształceniem, zamiast mnóstwa niedouczonej młodzieży, niezdolnych jeszcze zrozumieć spraw europejskich, a z drugiej strony narażonych na zepsucie w naszych stolicach. Iwakura odpowiedział:

— Są to słowa mędrca; gdy atoli młodzi ludzie przynoszą z sobą idee nowe i skrzętnością swoją rozpowszechniają je w ojczyźnie, podróże ich nie są bez pożytku. — Potem dodał, śmiejąc się zwyczajem japońskim: — Zrobiono nam reputację łgarzy, a właściwie mówiąc, kłamcami byli zawsze shoguni, którzy wzięli na siebie panowanie nad monarchiami.

Iwakura wyrażał się o swych projektach reform nie tylko do nas samych; zwykł on był rozprawiać o nich głośno w obec wszystkich co go otaczali. — „Lękacie się — rzekł pewnego razu — a przynajmniej niektórzy z was lękają się ujrzeć nas poniżej wysokości naszych zamiarów, mniemając, że jeśli się nam nie uda, cudzoziemcy ucierpią na tem. Nabierzcie otuchy! Gdy w Europie ludy wybierają królów, w Japonii wierzą, iż cesarz zstąpił z niebios i że ludzie są jego służebnikami. Książęta nawet uważali zawsze Mikada za swojego pana, któremu winni ślepe posłuszeństwo. Oto podstawa naszego prawa publicznego!... Zresztą formujemy obecnie gwardję z dziesięciu tysięcy ludzi, jako też armję cesarską, będziemy więc mieli lekarstwo na wypadek oporu. W Yedo ustalił się rząd państwowy i połączy on tam wszystkie gałęzi służby krajowej; prawa i podatki wszystkich okręgów będą od niego wprost zależnymi. Dochody nasze wynoszą kwotę dwunastu milionów rios

(około 36 milionów złr.) Shoguni oszukiwali naród my powiemy prawdę każdemu.

Dwaj synowie Iwakury znajdują się w Nowym Yorku, wedle przyjętej mody; Japończycy możniejsi posyłają swe dzieci bądź do Europy, bądź do Stanów Zjednoczonych. Powracający z tamąd noszą ubiór europejski, i niech kto co chce mówi, mają miny małp, zwłaszcza w stroju wojskowym. Bylibyśmy, zarówno jak oni, śmieszni, nosząc ich wzorem warkocze na ogolonych głowach, lub gdybyśmy na przechadzce w naszych ogrodach mieli za całą odzież chustę od pasa do kolan i trzymali wachlarz w ręku.

W ulicach Yedo jedni spacerują w cylindrach, drudzy w bucikach z elastykami, inni w paletotach z pod których wychylają się ich gołe łydki; obaczyć nawet można osoby ubrane całkiem po naszemu, z wyjątkiem zakrzywionych sandałów drewnianych i kapeluszy z papieru lakierowanego. Najwięcej szpeci ich zaczeska, gdyż mając włosy z przyrody szorstkie i nie poddające się grzebieniowi, smarują je zanadto oliwą i przewiązują wstążką. Modnisie ci atoli są w znacznej mniejszości, wywołując oburzenie wśród swoich ziomeków. Nie to im jednak nie szkodzi, gdyż mają plecy za sobą, protekcję rządu, uważają się przeto za osobistości ważne i są niemi do pewnego stopnia.

Godną zaiste jest pochwały owa gorąca chęć postępu, polepszenia bytu, użytkowania wynalazków narodów cywilizowanych; oby tylko te szlachetne popędy nie były źle skierowane i nie sprawiły zamętu w umysłach, mogącego się skończyć krwawą reakcją!

* * *

Oznaczono mi dzień 16 września na posłuchanie u Mikada.

Ministrowie zakomunikowali mi naprzód słowa, które miał cesarz wyrzec i zażądali przedwstępnej odemnie odpowiedzi. Oprócz tego wręczono mi plan pawilonu, gdzie miało się odbyć posłuchanie, z określeniem tronu i miejsc, które każdy w obec monarchy powinien zająć. Co do ceremoniału, otrzymałem za wskazówkę postępowanie w podobnej okoliczności p. Seward, byłego ministra spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Dnia tedy 16go zjawił się z rana szambelan dworu w ambasadzie angielskiej, gdzie bawilem w gościnie. Przyjechał on w faetonie zrobionym w Hongkong, jedynym powozie na dworze cesarskim, albowiem Mikado nigdy się z mieszkania nie wydał.*)

O południu udałem się w towarzystwie pp. Adamsa, ambasadora angielskiego i Satowa, tłumacza legacji na tę uroczystą audjencję. Otaczał nas konny orszak, złożony z ordynansów angielskich i z dwudziestu jeźdźców japońskich. Laufry biegli pieszo przy powozie. Na całej odległości między domem poselstwa a zamkiem, wynoszącej około czterech mil ang. wszystkie ulice poprzeczne były zamknięte dla przechodniów zapomocą sznurów, a co kilka kroków stały na drodze warty, prezentując broń przed nami. Różnobarwna ciżba ludu przypatrywała się nam z poza sznurów spokojnie ale ciekawie. U bramy pierwszego obwodu zamczyska zastaliśmy wojsko w paradzie; tak samo u drugiego obwodu, jako też przy wnijsciu. Część owego wojska, obciążona w mundurze europejskiego kroju, choć przedstawiała się nie źle, znać atoli było na żołnierzach, że przebranie to nie było im dogodne, gdy przeciwnie, wojskowi i urzędnicy cywilni, którzy wystąpili w strojach narodowych, wyglądali prawdziwie pięknie i wspaniale.

Minawszy ostatni most po nad fosą, odprowadzono nas do prywatnego ogrodu cesarza, do którego oprócz rzadkich wyjątków nie mają przystępu zwykli śmiertelnicy. Z ogrodu nie widać zamku, gdyż jest okolony gęstymi drzewami i trzcina bambusową. Postępując jedyną ścieżką wśród zielonej murawy, po pięciu minutach spotkaliśmy oczekujących na nas pp. Sanjo, prezydenta ministrów, Iwakurę i trzech radców stanu, tudzież przedstawicieli postępowych klanów japońskich. Tak więc ujrzałem zbliska owe znakomitości azjatyckie, co mają się stać odrodzicielami lub burzycielami własnej ojczyzny, stosownie do

*) W kilka miesięcy potem Mikado idąc za radą swoich ministrów-reformatorów ukazał się w najętej karcie zdumionym mieszkańcom stolicy. Było to wr. 1872. Syn bogów miał wtedy na sobie fantastyczny ubiór, na pół marynarski na pół ambasadorski.

*) Das Ausland. Ueberschau der neuesten Forschungen auf dem Gebiete der Natur-Erd- und Völkerkunde. 1874. Nr. 41.

okolicości! Sanjo i Iwakura wyglądali, jak im przystało, na wielkich panów. Innym, których wyniesienie się nad poziom, uzyskane dostojęstwa i wpływy były wypadkiem szczęśliwej rewolucji, którą gorliwie popierali na korzyść Mikada, nabyte godności nie nadały jeszcze oglądy należnej. Pomimo to, oblicza ich były nader zajmujące. Przebijał się tam wyraz inteligencji i odwagi, przy owej pewności gracza, co gotów stawić na kartę całe swoje mienie. Rewolucjoniści ci o rubasznym ułożeniu i paznokciach nieoczyszczonych starannie, chociaż nie należą do koła wytwornych i szlachetnie urodzonych Japończyków, są dzisiaj panami sytuacji kraju i od nich przeważnie zależy rezultat walki, głuchej wprawdzie dotąd, i odbywającej się pomiędzy korzystającymi z reform a tymi, co ponoszą kosztą takowych.

Po krótkiej rozmowie zapowiedziano zbliżenie się do Mikada. Postąpiliśmy więc dalej, zawsze w towarzystwie dygnitarzy państwa w galowych uniformach, aż do pawilonu zwanego „kaskadą.“ Pałając ciekawością ujrzenia jak najprędzej cesarza, nie mogłem się wstrzymać od podziwu, widząc ten czarowny ogród. Co do pawilonu, ten leży na krańcu zakręglonej płaszczyzny, zamkniętej wzgórzami i wieńcem drzew olbrzymich o rozlicznej barwie. Naprzeciwko pokłady granitu, ułożone z poczuciem piękna i niezwykłą sztuką, stanowią skałę pionową, z której spada obfity strumień opodal uroczego kiosku.
(C. d. n.)

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

S... S...

(Ciąg dalszy.)

Giron de Buzareingues opowiada o pewnym znajomym, który miał zwyczaj położywszy się do łóżka zakładać prawą na lewą nogę. Urodziła mu się córka, która odrazu w kolebce, mimo przeszkody powijaków układała się w tejże samej pozycji. Podobnych faktów mnóstwo znaleźć można u Ribota*) i Lucasa***)—poprzestaję na tych kilku dla tego, że one mają tylko pośredni z naszym przedmiotem związek. Ważniejszymi są dowody dziedziczności psychologicznej. Obaj wspomniani autorowie zebrali ich bardzo wiele, a nawet ułożyli genealogiczne tablice wykazujące w historycznych familjach dziedziczność specjalnych uzdolnień. Tak n. p. rodzina Bachów wydała 57 w ogóle, a 29 znakomitych muzyków. Podobne wypadki zdarzały się w rodzinach poetów, malarzy itd. My wszakże musimy te odmiany psychologicznej dziedziczności pominąć i zatrzymać się dłużej nad kategorią uczuć i namiętności. I w tej sferze zebrano mnóstwo ciekawych i zadziwiających faktów, z których główne według Ribota i Lucasa przytaczam. Pewien człowiek należący do ukształconej warstwy społeczeństwa i zajmujący ważne stanowisko oddawał się skrycie nałogowemu pijaństwu. Miał on pięcioro dzieci, z których jedno tylko zostało przy życiu. Otóż w dziecku tem bardzo wczesnie ukazały się instynkta okrucieństwa. Z początku nie miało innej przyjemności nad nielitościwe męczenie zwierząt; oddane do kolegum nie mogło się niczego nauczyć i zdradziło wszystkie znamiona umysłowego przytępienia nałogowych. Skończyło w szpitalu warjatów. Inny, Karol X... syn pijaka okazywał od dzieciństwa najokrutniejsze skłonności. Wypędzono go z kilku szkolnych zakładów. Zmuszony wstąpić do wojska posprzedawał wszystkie żołnierskie przybory, ażeby sobie kupić wódki. Od kary

śmierci uchroniły go tylko świadectwa lekarzy zeznających niepoczytalność ulegającego nieprzewycięzonej chorobie. Osadzony w domu robotnym umarł na paraliż. Pewien bardzo porządny robotnik nagle się rozpił i niszcząc się w tym nałogu zmarł, zostawiwszy siedmioro dzieci, których losy były następujące:

Dwoje umarło bardzo wczesnie na konwulsje; trzeci syn dostał w 22 roku pomieszania zmysłów i umarł idjotą; czwarty po daremnych próbach samobójstwa, zszedł do najniższego idjotyizmu; piąty stał się dziwakiem i mizantropem; córka ulegała licznym nerwowym słabosciom i histerji; siódmy syn bardzo inteligentny robotnik cierpiał jednak ciągle na rozdrażnienie i wróżył swej duchowej przyszłości najsmutniejsze wypadki. Niedawno nawet dr. Morel z okoliczności dzieci połapanych z komuny skonstatawał dziedziczne objawy alkoholizmu. Zbadał on stan umysłowy 150ciu maleców od lat 10 do 17. „Badanie to — powiada — utwierdziło mnie w dawnych przekonaniach co do zgubnego wpływu, jaki wywiera alkohol nie tylko na te jednostki, które go używają, ale jeszcze i na ich potomstwo. Na rozbestwionych twarzach tych dzieci odcisnęło się potrójne piętno fizycznego, umysłowego i moralnego wyrodzenia się.“ Obok różnorodnych odmian dziedzictwa alkoholizmu staje dalej bardzo ciekawy fakt, zaznaczony przez Galla, Lodorata i Lucasa, mianowicie antropofagja. Pewna szkocka rodzina ulegała przez kilka pokoleń instynktownemu pociągowi do jedzenia ludzkiego ciała. Kilku jej członków opłaciło życiem tę słabość, inni musieli zostawać pod ciągłym nadzorem. A. Humboldt odkrył w krajach podzwrotnikowych oryginalny rodzaj chorobliwej dziedziczności, mianowicie namiętnego pochłaniania ziemi. Często — powiada on — trzeba aż zamykać dzieci, ażeby szczególnie po deszczu nie rzucały się z chciwością do piasku i gliny. Co się tyczy zmysłowych szatów, takich jak: Augusta i Julji, Agripiny i Nerona, Marozi i Benedykta IX., Aleksandra VI i jego dzieci, Ludwiki Sabaudzkiej, Franciszka I. itd. itd.—to dla tej kategorii dziedzicznych namiętności historia zbyt wiele podaje przykładów, ażeby tu je przepisywać lub samego faktu dowodzić potrzebował. Zamiłowanie w grze przeradza się często także na szal, podobnie jak inne dziedziczne. Pewna dama—mówi Gama Machado—posiadaczka wielkiego majątku, przepędzała dni i noce w tym zgubnym nałogu. Umarła młodo na chorobę piersiową. Syn jej i córka odziedziczyli też same skłonności i również wczesnie pomarli. Namiętność do pieniędzy sprowadza też same następstwa. „Zauważyłem — powiada doktor Maudsley w swej *Pathology of Mind*. — że gdy człowiek wysiła się na to, ażeby z biednego zostać bogatym i na niewzruszonej podstawie oprzeć rodzinę, najczęściej zostawia fizycznie i duchowo wyrodzone potomstwo, które na trzecim lub czwartym pokoleniu zupełnie gaśnie. Jeżeli zaś to nie ma miejsca, wtedy zawsze w takiej rodzinie występuje instynkt szachrajstwa i dwulicowości, nadzwyczajny egoizm i brak prawdziwie moralnych zasad. Jakkolwiek może być opinja innych obserwatorów, nie przestanę utrzymywać, że namiętność do bogacenia się, pochłaniająca wszystkie siły życia, usposabia do moralnego, albo razem do moralnego i umysłowego upadku.“

Dziedziczność pociągu do złodziejstwa jest tyloma stwierdzona faktami, że można je bez końca czerpać z sądowych dzienników. Jedną

ciekawą w tej mierze genealogję przytacza w swem znakomitem dziele (*Psychologie naturelle*) Prosper Despine. Jan Chrétien, protoplasta rodu, miał troje dzieci: Piotra, Tomasza i Jana Chrzyciela. I. Piotr miał syna Jana-Franciszka skazanego do ciężkich robót na całe życie za kradzież i zabójstwo. II. Tomasz miał: 1go Franciszka skazanego do ciężkich robót za morderstwo; 2go Marcina skazanego na śmierć za morderstwo. Syn Marcina umarł w Kajennie za złodziejstwo; III. Jan Chrzyciel miał syna Jana-Franciszka, męża Marji Tanré. Jan Franciszek miał siedmioro dzieci: 1go Jana Franciszka zmarłego w więzieniu, gdzie go osadzono za złodziejstwo, 2go Benedykta, który wdrapując się na dachy, spadł i zabił się; 3go X.... karanego za liczne kradzieże i zmarłego w 25 roku życia; 4tą Marję Reginę i 5tą Marję Różę, obie za złodziejstwa osadzone zmarły w więzieniu; 6go Wiktora obecnie przyaresztowanego za kradzież; 7mą Wiktorję żonę Lemaire'a, której syn skazany na śmierć za kradzież i morderstwo.

Zdarzają się wypadki dziedziczenia złego instynktu — powiada Ribot — których wpływami warunków i wychowania wytlómaczyć nie można. Tak np. gazety sądowe zanotowały z r. 1845 los jednej rodziny, której połowa odziedziczyła po jednym z rodziców pociąg do złodziejstwa, a połowa nie. Teżsame objawy spotykać można odnośnie zabójstw. „Roczniki medyko-psychologiczne“ zapisały pod rokiem 1853 bardzo ciekawe tego rodzaju zdarzenie. Adela i Lucja H.... jedna trzynasto, druga czternasto-letnia przyjechały do Paryża dla kształcenia się. Adela była nadzwyczajnie łagodna i pracowita, Lucja nietowarzyska, nielubiana przez nauczycielkę i koleżanki. Rozdrażniona tem odosobnieniem zaczęła pieścotami i groźbami nakłaniać siostrę do zabicia nauczycielki. Ponieważ Adela opierała się, Lucja określiła jej szyję sznurkiem w zamiarze uduszenia. Na krzyk Adeli wbiegła nauczycielka. Lucja straciwszy nadzieję pozyskania współniczki postanowiła sama wykonać swą zemstę. W tym celu nazbierała kawałków szkła, utłukła je na proszek i wsypała do potraw nauczycielki. Ta uczuła od kilku dni silne bóleści, których przyczyny zbadać nie mogła, aż wreszcie razu pewnego dostrzegła u Lucji potłuczone szkło. Winną przyaresztowano, że śledztwa jednak okazało się, że dziadek Lucji kilkakrotnie usiłował popełnić morderstwo; że wreszcie w skutek tych pokuszeń udusił własną żonę. Jego dzieci nie objawiały zupełnie tej straszliwej manji, która, jak widzi-
my, odrodziła się dopiero we wnukach.

(C. d. n.)

O POPRAWIE

społecznego i ekonomicznego stanowiska kobiet.

Studjum podług Dr. Fr. Holzendorfa.

(Ciąg dalszy.)

Wobec prawa kobieta jest dziś zupełnie zrównana z mężczyzną. Kobiety samodzielne, niezawisłe, a więc takie, które nie są np. małolotniami, ani nie stoją pod opieką ojcowską, lub którym mąż nie odjął zupełnego prawa w niektórych wypadkach rozrządzenia własnością, w stosunkach prawnych używają tych samych korzyści, co i mężczyźni. Mogą tedy według własnego upodobania nabywać coś na własność

*) *L'Heredité étude psychologique* — Paris 1873.

**) *Traité physiologique et philosophique de l'heredité naturelle* — Paris 1847.

lub sprzedawać, rzekać się własności na korzyść drugich osób lub nabywać podobne prawa, sporządzać testamenta i robić długi. Widzimy z tego, że nic nie przeszkadza kobietom używać praw swych w obec sądów. Jak daleko jednak sięga owa samodzielność, żąda prawo w tych samych wypadkach tak dobrze od mężczyzn jak i kobiet zupełnej odpowiedzialności.

Inne były stosunki w wiekach średnich. Chociaż w towarzystwach dobranych ubóstwiano prawie kobietę, była ona jednakże nieustannie pod opieką. Stary pewien kronikarz chwalać ówczesne zwyczaje dodaje w swojej naiwności nie bardzo pochlebne dla ówczesnych kobiet pytanie: dlaczego też Matka Boska nie potrzebuje opiekuna? — W wiekach średnich mężczyzna musiał zastępować kobietę we wszystkich procesach. Pochodziło to ztąd, że brakowało kobietom dowodów fizycznych tj. silnej pięści i dzielnego ramienia, aby przeciąć węzeł procesu w danym razie szablicą. Mężczyźni uważali za swój rycerski obowiązek stawać w obec sądów w obronie uciśnionej „plci słabszej.“ Dziś jednakże miejsce ostrej szabli zastąpiła ostra logika.

Zwyczaj ten, jako niepraktyczny i zbyt-czny poszedł w zapomnienie, i nikomu na myśl nie przyjdzie dowodzić, że kobieta całe życie jest małoletnią. Inaczej ma się rzecz w Anglii. Zamożne rodziny uporządkowują tam interesa pieniężne i spadkowe naprzód zapomocą zawartych obopólnych kontraktów między małżonkami. Prawo bowiem państwowe zmusza je do tego postępowania; według niego bowiem w myśl najdawniejszych ustaw orzeka się tam wyraźnie o zdolności handlowej i prawniczej u kobiet, a pewien nawet pisarz utrzymuje, że kobiety wobec prawa są na równi postawione z kalekami, małoletnimi i idiotami.

Dziwnie to brzmi dla naszych uszu, skoro czytamy, że według zwykłego prawa angielskiego żona nie może być pociągana do odpowiedzialności za zbrodnię, którą popełni w obecności swego męża. Z wyjątkiem bowiem kilku bardzo znacznych zbrodni, prawo przyjmuje za zasadę, że możnowładca małżeński posiada już tyle siły, aby w danym wypadku powstrzymał swoją żonę od popełnienia zbrodni. Jeżeli zaniecha to uczynić, sąd ściga go z całą surowością prawa.

Szkody, które wyrządzi kobieta, należy tak likwidować, jakby je popełniło jakie zwierze domowe. Pierwotnie obliczoną była ta ustawa na to, aby słabszego w obec pretensyj silniejszego zastępował zawsze jego pan lub opiekun. Dziś jednakże z łatwością możemy zrozumieć, dlaczego angielskie i amerykańskie kobiety domagają się w obec prawa zupełnej odpowiedzialności dla swej osoby, gdyż czując się dotknięte takim zrównaniem z małoletnimi, gardzą ustulną ustawą średniowieczną.

Zupełnie odwrotnie od dotychczas omawianych stosunków prawa prywatnego i karnego, którego istota polega na równouprawnieniu osób i wzajemnem ich zobowiązaniu względem siebie, ma się głos podniesiony w kwestji równouprawnienia kobiet pod względem prawa „publicznego w państwie, kościele i gminie.“ Udział bowiem „czynny“ w sprawach publicznych, przewodnictwo w urzędach, prawo głosowań i wybieralności, zaszczyt i powinności służby wojskowej należą jedynie do rodzaju męskiego.

W pruskich ustawach dawniejszych znajdujemy wyraźnie miejsce, w którym zakazano: kobiety ze względu na wymogi publicznego po-

rządki i obyczajności przyjmować na członków stowarzyszeń politycznych. Niektóre ustawy karne w Niemczech przy ostatecznej rozprawie nie dopuszczają do dziś dnia publiczności mieszanej.

Podczas gdy na zachodzie, a przeważnie w Niemczech, możnaby na palcach policzyć głosy, żądające tu i owdzie radykalnej zmiany stosunków kobiecych, Anglja a przede wszystkim Ameryka zrobiła już znaczny wyłom w istniejących zwyczajach i przy nader usilnych staraniach otworzyła już kobietom furtkę do zabudowań państwowych.

Pomiędzy żądaniami i politycznymi prawami, o które się tak usilnie starano, zajęła pierwszorzędne miejsce kwestja głosowań i wybieralności kobiet do instytucyj państwowych. Wielka liczba poważnych dzienników broni już sprawy kobiet w Ameryce. W Anglii zaś uczeni pierwszego rzędu, jak John Stuart Mill i profesor Fawcett bronią nawet w parlamencie praw kobiecych i popierają ich słuszne żądania. W izbie niższej rozstrząsano kilka razy i brano pod obrady kwestję, czy kobiecie ma przysługiwać prawo głosowania publicznego, czy nie. Że tu nie chodzi o jakąś fantazję lub zachciankę ze strony kobiet, ale że rzecz weszła już na tory poważnej polityki, dowodem na to liczne petycje podawane do parlamentu, na których podpisało się tysiące najzacniejszych kobiet z najwyższych klas społeczeństwa angielskiego.

W Ameryce powody przytaczane przez kobiety domagające się uprawnień politycznego mają daleko donioślejsze znaczenie, gdyż opierają się na żądaniach republikańskiej partji, aby i murzynom przysługiwało prawo wyboru. Nagłe wyniesienie murzyna z najcięższej niewoli do najwyższego udziału politycznego i równouprawnienia, upoważnia tam kobiety do słusznych żądań, iż niepodobna je bardziej upośledzać jak murzynów. Skoro bowiem zważymy, że do niedawna utrzymywano upornie w Ameryce, iż murzyna należy uważać za stworzenie niższego rzędu, skutkiem czego dziś jeszcze w stanach Penny nie wolno mu zajmować skromnego miejsca wewnątrz omnibusu, skoro parowce wzbraniają się tam przewozić murzynów pierwszą klasą, a nawet artysta taki jak Ira Aldridge, dla tego, że był murzynem, nie śmiał występować na scenie, to w obec dzisiejszej zmiany stosunków i usamowolnienia murzynów, żądanie kobiet amerykańskich ma za sobą wiele bardzo słuszności i uzasadnionej podstawy. Żądania te otrzymały nawet już dziś historyczną podstawę, gdyż dawniejsze ustawodawstwo na „Rhode Islandji“ przyznawało kobietom w zakresie politycznym prawo wyborów i głosowań. Zresztą ze stanowiska czysto logicznych konsekwencyj muszą obrońcy powszechnego prawa głosowania, które przysługiwać powinno każdej dorosłej osobie, przyznać bez sromu, że nie ma żadnego rozsądnego powodu wykluczać kobiety od głosowania. Nie można utrzymywać, aby kobieta w masie ludu posiadała mniej roztropności od rodzaju męskiego. Wykształcenie zresztą polityczne nie jest postawione za warunek przy powszechnem prawie wyboru.

Zupełnie obojętny, zawisły, niezający pisma, nie wykształcony, występny nawet mężczyzna posiada według tego systemu prawo i wykonuje je na podstawie jedynie równości obywatelskiej. Całkiem słusznie mogą tedy kobiety z klas średnich utrzymywać, że posiadają daleko większy i bardziej wyrobiony pogląd na rzeczy

polityczne niż się nim poszczycić może wiejski wyrobnik, należący do najniższej warstwy ludności amerykańskiej. To zaś, co przeciw głosowaniu u kobiet dotychczas przytaczają, nie może nas żadną miarą przekonać. Zwykle używają w tym celu utartego komunału, że rodzina musiałaby skutkiem takiej zmiany znacznie ucierpieć, dalej, że kobietę mogłoby łatwo przy akcie wyboru rozdrażnione i nieokrzesane społeczeństwo czynnie znieważać, wreszcie, że słyby one tutaj raczej za popędem uczucia miłości lub nienawiści, jak za wskazówką rozważnego i dokładnego zdania. W dzisiejszych stosunkach wyborczych nie ma to wszystko najmniejszej doniosłości, chyba zmieniono zasady, których się trzymają przy wyborach. Jak długo prawo wyboru polega jedynie na indywidualnej naturze człowieka, różnicą płciowa pozostanie zawsze bez wielkiej doniosłości. Czyż namiętność, sympatje i antypatje nie odgrywają przy wyborach u mężczyzn żadnej roli? Któżby prócz tego na serjo mógł utrzymywać, że obowiązki żony względem rodziny ucierpiałyby coś przez to, gdyby ona przez trzy lub siedem lat najwięcej wybierała posłów za pomocą kartek, służących do głosowania?

Usiłowania kobiet podjęte na drodze poprzednio wykazanej w Anglii nie doprowadzą z pewnością tak rychło do pożądanego wyniku. Zwyczaj i obyczaj ludowy, a przede wszystkim tradycja narodowa są zanadto silnymi czynnikami w tej nierównej walce, aby najtrafniejsze nawet rozumowania i najlogiczniejsze wnioski mogły cokolwiek zmienić w tej mierze. Do tego przyczyniają się także nie mało uprzedzenia i niechęć objawiana dla tej sprawy przez większość rodzaju męskiego. Z jednej strony obyczaj narodowy, a z drugiej wspomniane niechętnie usposobienie stoją na straży konserwatyizmu, naprawiając z niestrudzoną energją każdy wyłom, który z takim mozołem i szlachetnym wysiłkiem postęp ludzkości w starej twierdzy od czasu do czasu zrobić usiłuje. W Niemczech, a cóż dopiero u nas, kwestja ta nie przybrała nawet formy politycznej dyskusji. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

-- Kawa literacka (1829—1830) przez Wł. Wojcieckiego, Warszawa 1874. (Odbitka z Biblioteki Warszawskiej.)

Jestto szereg obrazków z życia umysłowego literatów warszawskich, z czasów przedrewolucyjnych, żywo i zajmująco skreślonych. Nie jeden tu ciekawy szczegół, wiadomy tylko czcigodnemu autorowi — zachowany został od zagłady; anegdotycznych wiadomości, o Żółkowskim, Jaksie Marcinkowskim, Mochnackim i innych pełno na każdej karcie tej cennej ze wszech miar publikacji. Zważywszy, jak ubogą jest literatura nasza anegdotyczna w takie właśnie szczegóły — śmiało rzecz można, że praca Wojcieckiego wypełniła ważną lukę w naszym piśmiennictwie.

— Portrety literackie, przez Łucjana Siemieńskiego, tom IV. Poznań. 1874.

W najnowszym tomie, autor, który w poprzednich dał nam życiorysy kilkudziesięciu pisarzy, zajmuje się mało u nas znanym poetą niemieckim, Aniołem Silezjuszem (Szlązakiem) a dalej Antonim Malczewskim, Janem Pawłem Woroniczem i Wacławem Rzewuskim. Najlepiej jest odmalowana postać Rzewuskiego, legendowego prawie Emira, którego p. Siemieński poznał z listów i własnych jego pamiątek.

— Wiadomości archeologiczne. Spostrzeżenia w dziedzinie starożytności krajowych. Czasy przedhistoryczne. II. Warszawa. 1874.

Tom ten zawiera: 1) Jaskinia Mamuta w dolinie wierchowskiej przez Jana Zawiszę. 2) Wycieczki archeologiczne nad Świder przez Józefa Przyborowskiego. 3) Notatki archeologiczne z r. 1873—4 przez Edmunda Stawskiego. 4) O dwóch zabytkach z muzeum Towarzystwa przyj. nauk poznańskiego przez I. T. Lubomirskiego. 5) Starożytności Dobrzyńskie przez Gustawa Zielińskiego. Przedmioty wynalezione rysowano i wycięto w drzeworytni warszawskiej. Co do wykonania nie ustępuje ono wcale publikacjom niemieckim i francuskim tego rodzaju.

— Podwieczorki u Jadzi. Opowiadania Jaskółki dla dzieci. Z sześciu drzeworytami. Warszawa. 1875.

Panna Jadwiga Zeithimówna, kryjąca się pod pseudonimem Jaskółki, młoda a wielce utalentowana autorka w 6 podwieczorkach w Wilanowie spędzonych obznajmia dźwiatwę w nader zajmujący i przystępny sposób najsamprzód z okolicą Wilanowa, podaje dalej krótką wiadomość o wspomnieniach historycznych, do tego uroczego miejsca przywiązanych a przytem opisuje różne gatunki drzew i mówi o pszczołach, ptakach itd. Drugą część tej książeczki stanowi nader uduła komedijka tej samej autorki do dzieciennego zastosowania wieku pod tyt. „Jaka praca, taka płaca“.

— Książeczka kieszonkowa o miarach i wagach dziesiętnych. Popularnie wyłożył i 54 tabliczek zamiany dołączył dla użytku gospodyń, mniejszych gospodarzy, rękodzielników i przemysłowców, Edward Pietrzycki. Lwów. 1875.

Miary i wagi metryczne obowiązują już dziś w całej oświeconej Europie a na przyszły rok mają być i u nas zaprowadzone. Pan Pietrzycki obznajmia nas w tej pracy z nimi w sposób nader popularny. Dziełko to jest przeróbką z większego dzieła tegoż autora.

Rocznik szkolny obejmujący najwiecejsze urządzenia i ustawy szkolne, ogólne przepisy, warunki przyjęcia, opłaty szkolne, wykazy stypendjów i inne wiadomości statystyczne o szkołach, zebrał i ułożył Antoni Kosteczki, Rok I. w Krakowie. 1875.

Rocznik ten wydany na wzór zagranicznych kalendarzyków szkolnych obejmuje w sobie: I. Galię z W. Ks. Krakowskim, Bukowinę i Śląsk austriacki. II. Król: Polskie i niektóre gubernie ces. rosyjskiego, III. Prusy wschodnie i zachodnie. W. Ks. Poznańskie i Śląsk pruski, IV. Zagranicę tj. szkołę Batignolską, szkołę wyższą na Montparnasse i Stowarzyszenie naukowej pomocy w Paryżu.

— Kongres antropologii i archeologii przedhistorycznej w Sztokholmie 1874 r. Sprawozdanie Wawrzyńca hr. Engestrom. Poznań. 1875.

— Uwagi Machiavella wysnute z Liwiusza historji rzymskiej z oryginału włoskiego przełożył A. Sozański. Wenecja. 1874.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Pierwszy tom dzieł W. Pola opuścił już prasę.

— Pierwszy zeszyt zbiorowego wydania powieści J. Dzierzkowskiego, zawierający całą prawie powieść „Kuglarze“ opuścił prasę i zostanie temi dniami rozesłany wszystkim prenumeratorom. W zeszycie piątym skończy się tom pierwszy.

— „Dzwonek“ z dniem 2. stycznia br. po krótkiej przerwie zaczął znowu wychodzić w Tarnowie pod redakcją ks. Berarda Bulsiewiczza. Prospekt załączony do 1. Nr. zapowiada pomyślnie zmiany w tem piśmie, które w ciągu 15-letniego istnienia nie małą oddało przysługę naszym stosunkom wiejskim. Pierwszy numer w zupełności dotrzymuje zapowiedzi: prócz bowiem rozszerzenia formatu i obfitszej treści, widać umiejętność i dawną uczciwą tendencję w kierunku czysto narodowym także i u nowej redakcji. Pochwalając w zupełności pomysł przeniesienia redakcji „Dzwonka“ do Tarnowa, w obec budzącego się ruchu umysłowego w Galicji, zapowiadamy z góry powodzenie i zasylamy koleżeńskie „Szczęść Boże!“

— „Bartnika postępowego“ pisma poświęconego pszczołnictwu i ogrodnictwu, ukazał się we Lwowie Nr. 1. a jak widać z załączonego prospektu nada kierunek nader pożądany tej gałęzi naszego gospodarstwa krajowego. Prócz obfitej i różnorodnej treści, w której znajdujemy prace ludzi znanych z grunto-

wnej nauki i specjalnych studjów na polu gospodarstwa krajowego, — odznacza się numer ten i umiejętną redakcją i pięknym układem artykułów. Imię dr. Ciesielskiego stojącego na czele tej publikacji jest dostateczną rękojmią jej wartości i powodzenia.

— Teatr lwowski zaczyna się powoli zapelniać. Pani Wanda Kleczkowska, po wielkiem powodzeniu w „Cyruliku Sewilskim“ i „Napoju miłosnym“ — wystąpiła jeszcze w „Fauscie“ i „Rigolecie“ ale w obu tych utworach dramatycznych niski jej głos wcale nie dopisał. Pani Kleczkowska miała jeszcze wystąpić w trzech operach. Zdaje nam się, że w „Marcie“ Flotowa spiewałaby także z rzadkiem powodzeniem.

— Zapowiedziany na 8. bm. w piątek koncert pani Bogdani Kleczkowskiej z powodów o których zapewne doniosą dzienniki polityczne nie przyszedł do skutku. Natomiast dzielimy się z czytelnikami naszymi przyjemną wiadomością, że dnia 12. lub 13. b. m. zjeżdża do nas p. Zofja Siegenfeld, pełna talentu młoda pianistka, ulubiona uczennica Wieniawskiego, znana z koncertów w Warszawie i w innych miastach Kongresówki, oraz na Węgrzech. Panna Siegenfeld krótko tylko u nas zabawi, zdąży bowiem do Petersburga. Znawcy wychwalają w jej grze szczególnie silę uderzenia, obok głębokiego uczucia i inteligencji.

— Zarząd Towarzystwa osad rolnych w Warszawie układa serję prelekcij publicznych, które się mają odbywać przez ciąg wielkiego postu. Nazwiska osób, które oświadczyły gotowość przyjęcia w nich udziału stanowią rękojmię, że publiczność warszawska nie jedną godzinę wielkiego postu z przyjemnością i pożytkiem na prelekcjach tych przepędzić będzie mogła. W tej serji prelekcij mają bowiem przyjąć udział panie: Morzkowska (Marejné), Eliza Orzeszko; panowie: Eugenjusz Dziewulski, Felicjan Faleński, Filipowicz, Maksymilian Glücksberg, Gregorowicz, Korotyński, Tadeusz Korzon, Aleksander Kraushaar, Franciszek Maternicki, Bronisław Mayzel, Napoleon Milizer, Adam Sztukowski, Mściśław Suligowski. Prelekcje mają się odbywać trzy razy na tydzień w niedzielę o godz. 1ej po południu, we wtorek i czwartek o godz. 6tej po południu.

— Skariatyn, księgarz petersburgski, wydaje Zamek Kaniowski S. Goszczyńskiego w przekładzie rosyjskim. W ogólności w ostatnich czasach daje się spostrzegać w literaturze rosyjskiej żywsze zajęcie utworami naszych pisarzy, szczególnie dramatycznych.

— Znakomite dzieło Juljusza Simona „Nauka bezpłatna i obowiązkowa“ ma wyjść w tłumaczeniu polskiem Karola Forstera.

— Gustaw Freytag najznakomitszy dziś powieściopisarz niemiecki wydał nową powieść pod tytułem: „Die Brüder vom deutschen Hause“. Powieść ta stanowi dalszy ciąg powieści: „Die Ahnen“.

— W Piotrkowie znacznie wychodzić od d. 1. lutego rb. nowe czasopismo pt. „Tydzień“. Za kordnem będziemy zatem mieli imiennika, któremu w duszy tylko możemy życzyć powodzenia, ponieważ głos nasz nie może aż tam dolecieć.

— Ze wszystkich dzienników na świecie londyński „Daily Telegraph“ ma najwięcej odbiorców. Dziennie sprzedaje on przecięciowo 176,174 egzemplarzy.

— Wiktor Hugo ma zamiar ogłosić drukiem dalszy ciąg swoich „Legendes des Siécles“. Dzieło będzie się nazywało „Cztery wiatry“ i rozdzieli się na następujące części: Wiatr dramatu, Wiatr ody, Wiatr satyry i Wiatr komedji. Sama pierwsza część ma obejmować trzy nowe dramaty wierszem napisane.

— W cesarskiej drukarni w Pekingu, tłoczy się dzieło obejmujące 220 tomów, a noszące tytuł: Historia stłumienia powstania Taiping, przez armję pułkownika Gordona.

— W ciągu ostatniego roku Offenbach skomponował nie mniej i nie więcej jak tylko 8 sztuk, które razem tworzą 15 aktów i 9 obrazów. Niesłychana płodność kompozytorska!

— Ogromne powodzenie sztuki: „Podróż na około świata w 80 dniach“ która została przerebiona ze znanej powieści Verna, przez p. D'Ennery, skłoniło dyrektora teatru Porte St. Martin do zawarcia z autorem umowy, mocą której D'Ennery obowiązuje się dla wyż wspomnianego teatru napisać każdego roku jedną sztukę. Dla innych zaś teatrów nie wolno mu nic pisać.

— Najnowsza sztuka Belota „Helena“ będzie pierwszy raz nie w Paryżu lecz w Berlinie przedstawiona. Autor usiłuje w niej wprowadzić nowoczesną sztukę dramatyczną na tory szlachetniejsze;

— Ostatni dramat Wiktora Sardou „Nienawiść“ nie miał powodzenia. Dwudzieste siódme przedstawienie nie pokryło nawet wydatków. Skutkiem tego Sardou wycofał swój dramat, a teraz oświadcza w paryskich dziennikach, że nie napisze żadnego więcej utworu scenicznego. „Nienawiść“ dlatego się nie podobala, ponieważ za mało w niej efektów, za któremi Paryżanie przepadają.

Podróże, odkrycia i komunikacje.

— Angielski okręt rządowy „Bazyliszek“; o którego odkryciach donosiliśmy już na tem miejscu, powrócił niedawno ze swojej czteroletniej wyprawy. W Nowej Gwinei odkrył on 12 portów pierwszorzędnego wielkości i przeszło 100 wysp dotąd nieznanych. Wreszcie znalazł on krótszą drogę między Chinami a Australją.

— W pobliżu Custozzy, we Włoszech, odkryto jaskinię dawnych czarownic i czarodziejów. Znajdowało się w niej kilka czaszek, bardzo wiele narzędzi i trójnog rzadkiej wartości artystycznej. W ogóle wszystkie przedmioty są prawdziwymi dziełami sztuki.

— Włoski kapitan. Picasso, odkrył na Oceanie Atlantyckim niebezpieczną skałę, na której rozbiło się prawdopodobnie nie mało okrętów, o których wieść zaginęła. Leży ona na drodze z Europy do Nowego-Yorku, pod 40 stopniem północnej szerokości, a 62 st. 18 minut zachodniej długości. Dotąd nikt jej nie znalazł.

— W pobliżu Charellles, w Burgundji, znaleziono wspaniałą statwę brązową cesarza rzymskiego, a w Bramshain, odkryto groby, przepelnione rozmaitemi przedmiotami, które mają najmniej 2.000 lat.

— Tunel przez górę Sw. Gotharda, mający bezpośrednio połączyć Szwajcarję z Włochami, postępuje naprzód. Do listopada r. z. wyłobiono z obydwu stron 188 metrów. Ponieważ dziennie roboty postępują o 4 metry, przeto w 50 miesiącach praca będzie ukończona, zostaje bowiem do przebiccia przestrzeń licząca jeszcze 6150 metrów.

— W Berlinie ma być zaprowadzona kolej konna nowego systemu. Nowość polega na tem, że zamiast po dwóch, wagony będą się toczyły po jednej szynie. Każdy wagon będzie miał dwa koła, jedno z przodu, drugie zaś na szynie żelaznej, gdy tymczasem koła boczne będą się toczyły po trotoarze. Wynalazcą tego systemu jest jakiś inżynier angielski.

Gospodarstwo.

— Francja znacznie teraz więcej koni wywozi jak zakupuje. W roku ubiegłym zakupiła ona za granicą 6536 koni, a zato sprzedała do Anglii, Belgji, i Niemiec 22940.

— Gotowanie szynki jest na pozór łatwe, a tymczasem w rzeczywistości dosyć trudne. Przez złe ugotowanie szynka staje się nie raz czcza i niesmaczna. Oto przepis do gotowania: najpierw należy szynkę dobrze wybić, następnie połóż ją go zimnej wody na 4 godziny, a w końcu włóż także do zimnej wody i niech się gotuje całkiem powoli. W ten sam sposób należy postępować z każdym mięsem wędzonym.

Wojskowość.

— Węgierska armja honwedów otrzymała dwadzieścia baterji kartaczownic, systemu Montigny. Każda baterja liczyć będzie tylko 4 kartaczownice.

Nekrologja.

— Dnia 30. grudnia r. z. zmarł w Warszawie Jan Chęciński, niepospolitych zdolności pisarz dramatyczny. Jego „Szlachectwo duszy“ należy do najcenniejszych utworów scenicznych w naszej literaturze. Zmarły był także aktorem i reżyserem. Liczył lat 48. Ostatnią jego komedję „Krytycy“ drukuje teraz w odcinku warszawski „Wiek“. Nieboszczyk zostawił liczną i ubogą rodzinę.

ROZMAITOŚCI.

— Osobliwego rodzaju warjata przyprowadzono w tych dniach do bióra prefektury policji w Paryżu. Około piątej wieczorem stawił się on w biurze przy ulicy Tiquetonne i rzekł zupełnie spokojnym tonem: — Brygadjerze, przychodzę z prośbą, ażebyś mnie zaarrestował. Źle mi przyklepiono głowę, czuję bowiem że się chwije. Zaczynam nawet żałować, że się poddałem tej operacji, zamiast zostać w dawnym stanie to znaczy: w dwóch kawalkach.— „Co?... Któż pan jesteś i co chcesz powiedzieć?“ — spytał brygadjer osłupiały. — Jaktó, nie poznajesz mnie pan? odparł przybyły. Ależ ja jestem Moreau, — botanik... wiesz pan... ten którego gilotynowano. Akademia umiejętności kazała mi przyklepić głowę, ale wzięto się do tego niezgrabnie, żyły źle związane, obieg krwi odbywa się z trudnością i sprawia, że mi wciąż bardzo zimno. Proszę, ażebyś pan raczył skontaktować stan mój w obecności komisarza policji tego cyrkułu. — „Najchętniej“, odpowiedział brygadjer, widząc wreszcie z kim ma do czynienia. Wkrótce odwieziono tego biedaka do Charenton, do domu warjatów. Nazywa on się rzeczywiście Moreau, tak jak słynny morderca z Saint Denis; był przytomnym egzekucji swojego imiennika i od tej pory inteligencja jego i tak słaba, uległa zupełnemu obłądowi. Ma się za gilotynowanego.

— Pomiędzy wydatniejszymi osobistościami zmarłymi w ostatnich czasach w Paryżu, znajduje się literat, współpracownik „Pressy“ i „Revue des deux Mondes“, Felicien Broisat, którego los oplakania był godzien. Jedna drobnotka popsula całą jego karierę i ciężła na nim przez całe życie. Pewnego dnia — w początkach swego zawodu — wybrał się w odwiedzin do sekretarza jeneralnego kompanji orleańskiej. Zatrzymano go tam na objad. W godzinę potem, żegna się, zdejmując kapelusz z kołka w przedpokoju — i wychodzi. Na bulwarach spotyka cztery osoby znajome, którym się kłania. Nikt mu nie oddaje ukłonu. Jeden z jego przyjaciół przechodzi. Broisat zbliża się ku niemu. Przyjaciel spogląda nań i obraca się tyłem. Nadchodzi drugi. Taż sama scena. Broisat zapytuje zdziwiony, co to znaczy. — „Mój miły, odrzekł zapytany, ja nie rozmawiam z lokajami.“ — „Pan sam jesteś lokaj!“ — odpowiada oburzony Broisat. W tej chwili spotkany przyjaciel w pasji jednym zamachem strąca mu kapelusz z głowy... Był to kapelusz z kokardą, kapelusz lokaja, wzięty przez pomyłkę w przedpokoju! Wszystko się wyjaśniło, ale wieść o tem, że Felician Broisat został lokajem, przez lat kilka krążyła po mieście i niezmierną szkodę temu nieszczęśliwemu wyryczała. Nie ostatni to był złośliwy figiel losu w jego życiu. Umarł w nędzy prawie.

— Każdego filantropa niewątpliwie żywo obejmą dzieje osady rolnej dla zaniedbanych moralnie dzieci i dla młodych przestępców założonej w Mettray we Francji, przez radcę trybunału Metz. Instytucja ta bardzo mało nam znana wyrosła z tak wielkiej miłości dla rodu ludzkiego, oparta na tak znakomitej metodzie i tak świetne wydaje rezultaty, że warto, abyśmy tu obszerniejszą wiadomość o niej podali. Metz przez długą praktykę sądową i troskliwe badanie domów poprawy dla małoletnich przestępców doszedł do tego bolesnego przekonania — że młodzi delinkwenci wychodzą z nich w 21 roku życia skończonymi zbrodniarzami — a jeśli cudem od kompletnej gangreny moralnej się uchronią, — fizycznie zawsze prawie w najokropniejszym znajdują się stanie. Przyczyną tego nieszczęsnego rezultatu jest oplakana metoda praktykowana w podobnych zakładach. Jednaka i ciężka praca dla wszystkich — bez uwzględnienia różnicy zdolności i chęci — praca w zamknięciu. Karani srogo za najmniejsze przestępstwo przeciw przepisom zakładu, nabywają weześnie i koniecznie przekonania, że cały świat składa się z tyranów i uciśnionych. Jedyne zajęciem ich wyobraźni jest snucie planów wydobywania się na wolność — dla zaspokojenia żądź swoich i pomśzczenia się na ciemiecach. Obecowanie jedynie z podobnymi sobie przestępcami rozwija wszystkie złe instynkta, które w nasieniu zaledwie do tego miejsca przynieśli; zasady moralne, po kaznodziejsku i w suchej for-

mie im podawane, pozostają bez żadnego wpływu, — i koniec końców występuje przerażająca statystyczna cyfra: na 100 uwolnionych wreszcie w 21 r. życia z takich zakładów — 75 zostaje stałymi klientami więzień i galer! Gorące serce Metz głęboko uczuło przerażającą socjalną doniosłość tego faktu. Rzucił świetną pozycję sądową, którą zajmował, rzucił wszelkie osobiste widoki i osnuwszy metodę własną, poprawczą, począł szturmować do rządu z prośbą, aby mu dano miejsce i sposobność do wypróbowania tej metody. Po długich zaledwie staraniach udało mu się uzyskać, o co prosił. Powierzono mu kierownictwo domu poprawy w Mettray. Podstawą metody Metz było młodych przestępców wydobyć z zamknięcia i zająć ich pracą na wolnym powietrzu. Ogrodnictwo i uprawa roli stały na pierwszym planie. Wkrótce już okazały się doskonałe owoce tej zmiany. Przybywający do Mettray wychowawcy z innych zakładów karnych znajdowali się w oplakanyim stanie zdrowia: jedni z usposobieniem do chorób skrofulicznych, inni z początkami skorbutowych, wszyscy osłabieni życiem siedzącym. Szybki powrót ich do zdrow.a lekarzy samych w podziw wprowadzał. Ale moralnie większe jeszcze działały się cuda. Ażeby dać pojęcie, jaką głęboką znajomość natury ludzkiej, co za niewyczerpaną dobroć i wytrwałość, a przytem, ile poświęcenia Metz posiadał, musimy tu wejść w niektóre szczegóły urządzenia instytucji w Mettray. Pierwszem zadaniem do rozwiązania był słuszny wymiar kary. Że w stosunku do tak dziedzicznych żywiołów, z jakimi Metz miał do czynienia, pewna surowość była konieczną — łatwo pojąć; chodźto jednak o to ażeby to nie surowością ale sprawiedliwością samym elewem się wydawało. Zasadę swoją pod tym względem sformułował Metz w następujący sposób: „Bierne posłuszeństwo, jest wędzidłem, któremu słaby się poddaje, — które jednak świadomy siły swojej przy najpierwszej sposobności kruszy. Jeżeli kara zbawienna i trwały skutek ma wyrzucić, przedewszystkiem potrzeba, iżby ukarany uznał, że zasłużył na nią. Dziecko nie zapomina nigdy dopełnionej nad nim niesprawiedliwości i ztąd upor się rodzi. Strzedz się potrzeba karania w uniesieniu gniewu, lub z wyrazem namiętności. Dozorca i nauczyciel, noszący w zakładzie moim nazwę: „Naczelników rodziny“ nie mają prawa karać żadnego dziecka na gorącym uczynku“. Wymiarowi kary przewodniczy taż sama ludzka i racjonalna miara. Po pierwszym napomnieniu w cztery oczy, następuje publiczne, potem wyłączenie od zabaw w godzinach wolnych, dalej odjęcie rangi „starszego brata“, wykreślenie z listy honorowej, wreszcie areszt w jasnej lub ciemnej komórze; w bardzo ważnym wypadku o chlebie i wodzie; — a jeżeli już nic nie pomaga — groźba wypędzenia z kolonji i odesłania do zwykłego poprawczego zakładu. Ten ostatni środek okazywał się zawsze skutecznym — bez dojścia do ostateczności. Metz wszystko przewidział. Pomyślał i o tem aby żałujący grzesznik miał możność poprawienia błędu swego i uniknięcia kary. W pewnym punkcie zakładu znajduje się otwarta skrzynia z napisem „przepadłe rzeczy“. Jeżeli co zginie, poszukiwania zaczynają się dopiero nazajutrz; jeżeli zaś do tej pory przedmiot, który zginął, odnajdzie się w skrzynce, winowajcy szukać już nie wolno. Rozdział nagród ma również szlachetne i głęboko obmyślane podstawy. Wszystko oparte na poczuciu honoru u chłopców. Zapisanie na listę honorową jest najwyższą ambicją wychowawców. Tytuł „starszego brata“ dowodzący zaufania kierowników, stanowi potężny bodziec do pilności i dobrego postępowania. Każdy oddział kolonji stanowi jedną „Rodzinę“ i ma swój własny sztandar, którego przy ważnych uroczystościach i na wielkich przechadzkach używa. Jeżeli jeden z członków mocno zawinił, cała „rodzina“ traci na pewien czas swój sztandar. Nie do wiary, jak skutkuje ten środek. Co soboty odbywa się wielkie posiedzenie pod przewodnictwem dyrektora na którym „naczelnicy rodziny“ składają raporty o pracach całego tygodnia i postępowaniu wychowawców; poczem wymiar kar i nagród następuje. Jako fakt uwydatniający metodę Metz cytujemy tu następujący przykład: Pewien chłopiec, którego z domu poprawy do kolonji (Metz umyślnie nadał jej taką nazwę) w Mettray

przysłano — przyniósł ze sobą manję ucieczki i ledwo przybywszy, zemknął. Schwymano go, a ponieważ już kilka prób podobnych dawniej uczynił, on i wszyscy towarzysze jego pewni byli srożej na niego kary. Metz tak do niego przemówił: „Wiem, żeś już nieraz próbował uciekać. W Mettray byłoby to nader łatwym, bo jak widzisz nikogo tu nie zamykają. Nie mogę ci jednak na to pozwolić. Podnieś rękę i przysięgnij mi na honor, że nie opuścisz kolonji“. Chłopiec uczynił, co mu rozkazano. „Dobrze, — rzekł wtedy Metz — teraz jesteś moim więźniem na słowo, nie boję się już o nic, idź do swoich towarzyszy“. Od tej pory chłopiec ani pomyślał o ucieczce. Zresztą w ogólności próby ucieczki należą w Mettray do niezmiernie rzadkich wypadków. Przez cały czas długiego zarządu Metz uciekł jeden tylko kolonista w r. 1849. Pewien filantrop odwiedzający zakład zadawał wychowawcom z kolei pytanie: „Dlaczego nie próbujecie uciekać?“ Pierwszy z zapytanych odparł energicznie: „Uciekać?! Nie ma tu żadnych murów!“ Drugi rzekł: „Koledzy moi twierdzą, że byłoby podłością uciekać, jeśli się nie jest zamkniętym“. Trzeci nareszcie odpowiedział łagodnie: „O nigdy, to zmartwiłoby pana Metz!“ Silniej od tych przytoczeń przemawia statystyką tej kolonji za doskonałością systemu Metz. Do końca grudnia 1872 wypuszczono z tej kolonji 3104 młodzieńców. Z tych 1593 gospodarzami rolnymi, 707 rzemieślnikami, 694 żołnierzami (podoficerami po największej części) 110 marynarzami, 5 oficerami, 4 dekorowanych legją honorową, 24 ma inne ordery wojskowe, 344 żonatych i ojców rodziny. Możeb być piękniejsza nagroda dla założyciela takiej instytucji, jak podobny rezultat jego trudów?! Metz żądał też za poświęcenie całego życia swego jedynej nagrody — a mianowicie zrealizowania tego godła swojego: „Rola za pośrednictwem ludzi a ludzi za pośrednictwem rolnictwa poprawić“. Doszedł do tego, i czuł się zupełnie szczęśliwym. Krótko przed śmiercią swoją rzekł: „Jeżeli mnie Bóg teraz do siebie powoła, nie od niego nie będę mógł żądać bo gotówką mi już tu zapłacił“. Pokazuje się, że nie wszyscy święci są w kalendarzu! Metz umarł 2. listopada 1873.

— „Journal de Trevoux“ opowiada w następujący sposób pomstę nocnego ptaka nad zabójcą jego piskląt: Sowa usłała sobie gniazdo w wydrążeniu starego dębu; wkrótce wychyliły główki z gniazda jej pisklęta. Chłopiec z bliskiego folwarku spostrzegł to i ulegając niechęci i wstrętowi, jakie na wsiach budzą sowy i puszczki, wszedł na drzewo i pod nieobecność starych, pomordował bez litości młodą drapieżną generację, już silną i prawie zdolną do lotu. Przez kilka wieczorów następujących, po tym wypadku, w chwili kiedy chłopiec powracał do domu, samiec-sowa krążył po nad nim. Niczyjej to jednak nie zwróciło uwagi. Zdawało się naturalną rzeczą, że ulatuje w bliskości swego dawnego gniazda. Ale ptakowi chodziło o co innego: czatował on na zabójcę swoich piskląt. Przez pięć dni powracał, nie śmiejąc uderzyć na chłopca, nareszcie szóstego, gdy winowajca wychodził z folwarku, ptak zaczajony na bliskim drzewie padł nań i jednym uderzeniem szponów wyrwał mu prawie całkiem lewe oko. Chłopiec szalony bolem wydał okrzyk rozpaczony i padł bez zmysłów; ptak już był daleko. Przybyły nazajutrz doktor skontaktował, że szpon drapieżnika rozdarł chłopcu w całej długości tęczęwkę oka. Nic go nie uchroni od ślepoty.

Odpowiedzi Redakcji.

L. V. T. W. w Krakowie. Rozprawka Pańska o pieniądzech papierowych w Polsce, będzie umieszczona w jednym z następnym numerów naszego pisma.

W. w Bochni. Przeczytaliśmy już dawno i umiemy bez żadnej wątpliwości, tylko wpraw niekończymy rozprawę Picarda, która zajmie jeszcze trzy numery.

P. W. w Poznaniu. Przekonał się, że rzecz ta powszechnie znana i drukowana.

I. K. w Skafacie. Polecił się księgarni, aby niezwłocznie wysłała. Na zbyt pochlebne słowa nie zasłużyła sobie osoba, do której były zwrócone.

I. P. w Dukli. Odesłaliśmy wczorajszą pocztą.

Treść Nr. 2.

O szerzeniu oświaty pomiędzy ludem przez Czesława Pieniżka: *Serce i ręka*, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.); *Obrazy z Anglii*, przez Sewera (dok.); *Francja dzisiejsza*, przez L. Picarda (c. d.); *Idealisci* powieść Jana Lama; (c. d.); *Pamiętniki z r. 1831*, Ignacego hr. Komorowskiego (c. d.); *Termopile* wiersz B. Czerwińskiego; *Pogadanka* Jana Lama; *Faust* nowella Turgeniewa (c. d.); *Podróże do bieguna północnego*, przez L. Tatomira (c. d.); *Piśmiennictwo zagraniczne* przez J. Gordona (c. d.); *Dziedziczność charakteru* przez S. S. (c. d.); *O poprawie bytu kobiet* według Dr. Holzendorfa (c. d.); *Bibliografja*. — *Wiadomości ze świata* — *Rozmaitości*. — *Od Redakcji*.